



650

~~1111~~

Ms. Aho. 1913

<http://rcin.org.pl>





Scena XI.

J.P. Majewski [w roli Jana, w Kom. Wyj i Siostrzenice]

Na dzimnego, za matką poszła banda cała.

Tom XI Prac Dramatycznych.

PRACE
DRAMATYCZNE

J. S. JASINSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

P R A C E
D R A M A T Y C Z N E

TEUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom XI.

W A R S Z A W A .

1 8 3 9 .

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
88-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel. 26-68-63
<http://rcin.org.pl>

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

PRACE
DRAMATYCZNE

TEUMACZONE I ORYGINALNE

J.S.JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom XI.

WARSZAWA.

1839.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

SPIS SZTUK

W TOMIE JEDENASTYM ZAWARTYCH.

1. *Wuj i Siostrzeniec*, komedja w jednym akcie 1
 2. *Wet za wet*, komed. w jednym akcie 53,
 3. *Schadzka* czyli *Pasztet z węg-rza*, komedjo-opera w jednym akcie 123.
 4. *Każdy ze swój strony*, komedjo-opera w jednym akcie 171.
 5. *Adolfi i Julja* czyli *Osobliwi więźnie*, komedjo-opera w jednym akcie . 215
-



22963/11

W U J

I

SIOSTRZENIEC.

K O M E D J A

W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE WIERSZEM NAPISANA.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 22 Października 1832 roku.

O S O B Y.

ZACNIEWSKI, majątny dziedzic	JP. <i>Jasiński.</i>
WACŁAW, jego siostrzeniec	JP. <i>Giżewski.</i>
PANI STOLNIKOWA	JPi. <i>Rembecka.</i>
ANIELA, jej córka	JPa. <i>Zulińska.</i>
ZOSIA, służąca	JPa. <i>Werowska.</i>
JAN, lokaj WACŁAWA	JP. <i>Majewski.</i>

(Rzecz dzieje się w dobrach Zacniewskiego)

WUJ i SIOSTRZENIEC.

(Pokój porządny, stół, krzesła i t. p.)

SCENA I.

(Za podniesieniem zastony, Aniela siedzi, czyta książkę. Zosia postrzegłszy jej westchnienie, mówi)

Z O S I A.

Tak pani, mów co zechcesz, co ci się podoba.
Pojmuję co się dzieje; nie pierwsza osoba
Której odgadłam powód skrytego westchnienia.
Kochać i wzdychać panny muszą z przeznaczenia,
Napróżno pani książką trudzisz się od rana...

A N I E L A.

Proszę cię przestań, przestań o moja kochana.
Błogi pokój nie odbiegł mej duszy na chwilę;

Jak dawniej tak i teraz czas upływa mile;
Jeśli z piersi westchnienie czasem się dobędzie...

Z O S I A.

Nie czasem, wzdychasz panna i ciągle i wszędzie.
Wzdychasz do tych dni kilku spędzonych w Warsza-
Czyli raczej, do kogós..co to na zabawie (wie,
U cioci...

A N I E L A.

Na zabawie?...

Z O S I A.

Wciąż z panią tańczył.

ANIELA. (n. s.)

O Nieba!

Z O S I A.

Potem tkliwie rączkę ucałował.

A cóż, nieodgadniona wielka tajemnica?

A N I E L A.

Ah!

Z O S I A.

Dowodem rumieniec który kryje lica.

Próżno się pani dotąd przede mną tała.

A N I E L A.

Przebacz mi moja Zosiu.

ZOSIA. (wesolo niby z powagą),

Juzem przebaczyła!

Więc pan Wacław..?

A N I E L A.

Niestety!

Z O S I A.

Dla czegoż niestety?

Zdobia go tak zasczytne, tak piękne zalety:
Młody, przyjemny, tkliwy, bogaty, waleczny,
I pewnie łącząc wszystko, w miłości stateczny.
Cóż więc smutek obudza, i z kąd niepokoje?

A N I E L A.

Pytasz się, położenie nie znaneż ci moje?

Z O S I A.

Ależ bo pani rzeczy bierzesz zbyt surowo.
Uwłączasz Wacławowi podobną tej mową,
Ten, kto ubogiej serce oddaje w ofierze,
Tym samem przekonywa, że ją kocha szczerze.
Dajmy pokój cierpieniom, smutkowi, zgryzocie,
A myślmy teraz lepiej o jego powrocie.

A N I E L A.

Ciotka pisała w liście ostatnim z Warszawy:
Że go nie zatrzymają stołicy zabawy;
Że natychmiast tu w nasze pospieszmy ustronie.
Mówił jej:

Z O S I A.

Wiem co mówi kto miłością płonie.
W uczuciach swoich stały, wierność poprzysięga.
Bo kogóż nie ustali tych wdzięków potęga?

(Aniela spuszcza oczy)

Piękna, piękna i skromność co w tej chwili gości.

A N I E L A.

Dość o mnie...

Z O S I A.

Wierzę bardzo; mówmy o miłości,
O przyjemnym Wacławie, wkrótce wtém schro-
(nieniu
Serca, które miłością tchnęły w oddaleniu,
Bić będą blisko siebie...

A N I E L A.

Przyszłość jeszcze skryta.

Z O S I A.

Jak w udręczaniu siebie myśl nasza obfita!

A N I E L A.

Tak krótko znam Wacława...

Z O S I A.

Ja znałam dość długo.

Jak on chętnie z najmniejszą pośpieszał przystugą,
A te tklive spojrzenia z westchnieniem głębokiém,
I lzy przy pożegnaniu, nie uszły przed okiem.

• ANIELA. *(zapomniawszy się)*

A pamiątka...

Z O S I A.

Co slysę? i pamiątkę mamy?

No proszę, jeszcze mało, więcej pragną damy!

Pamiętka i wątpliwość... nie, to się nie zgadza.
Prawda, w sercu żołnierza mdła miłości wiadza,
Lecz pan Wacław szlachetny i nie mylnie wnoszę
Że cię kocha, ubóstwia...

A N I E L A.

Nadziaci rozkosze!

Z O S I A.

Jeszcze! ah wierz mi pani, już mi słów nie staje.
Czyliż mało dowodów przywiązania daje?
Wszakże miłości pełne szle do ciotki listy...

A N I E L A.

A te co do mnie pisał...

Z O S I A.

To interes czysty,

Nie ma już o czém myśleć, cała rzecz skończona.

A N I E L A.

Jak wróci...

Z O S I A.

Ślub.

ANIELA. (*naiwnie*)

A potem?....

ZOSIA. (*chce powiedzieć*)

Potem.. (*wstrzymuje się*) Mąż i żona.

A o reszcie po ślubie.

A N I E L A.

Gdy Wacław przybędzie,

Cóż wuj powie.....

Z O S I A.

Bądź pani spokojną w tym względzie.

Ręczę że pan Zacniewski przyjmie go radośnie;
On nie zwykł na nikogo spoglądać ukośnie,
Owszem, wojak, żołnierza z roskoszą uściska,
Widzę jak ła przyjaźni w jego oczach błyska.
Żeby go tylko prędzej sprowadziły nieba.

A N I E L A.

Dziś przyjedzie.

Z O S I A.

Przedziwnie, nic więcej nie trzeba.

STOLNIKOWA. (*za sceną*)

Anielo!

A N I E L A.

Biegnę; Zosiu, ileż uczuć w duszy!

Z O S I A.

Bądź panienka spokojną! (*Aniela wybiega do matki*)

Z O S I A. (*sama*)

I kogóż nie wzruszy

Tej los smutny? Lecz gdy się nad panią lituję,

Nie w lepszym położeniu sama się znajduję.

Jan, którego widziałam u ciotki mej pani,

Jan, siedzi mi w pamięci, Jan to serce rani.

Dziwi mię moja stałość, i wyznaję szczerze:

Że odmienić kochanka wielka mię chęć bierze.

Gdyby się to w Warszawie a nie na wsi było,
Jużby po nim z dziewięciu dymissję nosiło.
Ale tu.. Boże odpuść!.. Bartki i Macieje,
Prawda, że się z nich nie raz do woli naśmieję,
Jednakże na tém koniec.... ha! Pani nadchodzi..!

(patrzac w kulisę)

Smutna i zamysłona... podsłuchać nie szkodzi,
Kiedy nas przywiązanie do tego nakłania. *(staje
w głębi)*

SCENA II.

STOLNIKOWA, ANIELA, ZOSIA.

STOLNIKOWA.

Wyjawię ci nareszcie powód pomieszania,
Bo i na cóż się przyda chcieć ukrywać dłużęj?

ANIELA.

Coś nam niepomyślnego twoja mowa wróży.

STOLNIKOWA.

Wszak pamiętasz Anielo, jak ojciec przy zgonie
Los nasz i przyszłość złożył w Zacniewskiego dłonie,
Wiesz, że proces nieszczęsny, zniszczył nasze mienie,
Że gdyby nie przyjaźni, litości schronienie,
Możebyśmy dziś obie przytułku nie miały.

ANIELA.

Stwórca mu wynagrodzi postępek wspaniały.

STOLNIKOWA:

Podczas zwykłej rozmowy, rzecze do mnie wczora:
Kochana stolnikowo, nadeszła już pora,
W której wam moje myśli wyjawię otwarcie,
Jakkolwiek rokosz dla mnie, nieść wam pomo
(wsparcie,

Lecz latka się gromadzą, wcześniej tedy wolę,
Do wszelkiej już obawy dzisiaj zamknąć pole.

ANIELA.

Czyliż tym dobrodziejstwom zrównają podzięk!

STOLNIKOWA.

On też pragnie nagrody w darze twojej ręki.

ANIELA.

Boże!

STOLNIKOWA.

Jakaż odpowiedź? śmiało....

ANIELA.

Moja matko....

ZOSIA. (n. s.)

Jabym się z tego ślubu wywineła gładko.

STOLNIKOWA.

Jeśli masz serce wolne....

ANIELA. (n. s.)

Ah! (głośno z czuciem) wolne zupełnie.

Co mi rozkażesz, wszystko, tak, wszystko wypełnię.

A gdyby nawet serce miłość już zwięzła;

Z rokoszabym ją szczęściu matki poświęciła.

S T O L N I K O W A.

Dla czegoż twoje oczy lzy ronią cbcicie?

Drogą córki pomyślność, lecz droższe jój życie.

Wyznaj.

ZOSIA. *(która uważała na wszystkie strony)*

Pan Zacniewski.

S T O L N I K O W A.

Już.

A N I E L A.

Ah!

STOLNIKOWA. *(do córki)*

Zostaw mię samą!

ANIELA. *(całuje matkę w rękę i odchodzi)*

ZOSIA. *(d. s.)*

Ciekawam co Zacniewski będzie mówił z mamą.

(idzie w głąb)

SCENA III.

ZACNIEWSKI, STOLNIKOWA, ZOSIA.

Z A C N I E W S K I.

Dzień dobry wam, dzień dobry, czy dobrze się spało?

S T O L N I K O W A.

Dziękuję.

Z A C N I E W S K I.

Co, ^odziękuję? to dla mnie za mało.

Ale coś w kwaśnym dzisiaj jak widzę humorze.

Może wam nieprzyjemny, lub natrętny może?....

S T O L N I K O W A.

Miałam rozmowę z córką....

Z A C N I E W S K I.

Nie chce?

ZOSIA. (n. s.)

Zgadł od razu.

S T O L N I K O W A.

Ona chętnie dopełni mojego rozkazu.

Lecz pomów z nią sam wpierwój....

Z A C N I E W S K I.

Tego nie uczynię.

Nie tak łatwo staremu przy młodej dziewczynie...

A potem, prawdę mówiąc, już i zapomniałem,

Jakto.. te ceregiele... bo ja w życiu całym....

Wszakże wiesz jaki powód do związku mię skłania?

Wyjaw jej moje myśli, moje chęci, zdania.

W związku tym tylko przyszłość zajmuje mię wasza;

Jednak mąż stary pewnie Anielę przestrasza.

ZOSIA. (n. s.)

Poznał przecię powody....

S T O L N I K O W A.

Broń Boże, nie.: ale...

Z A C N I E W S K I.

Nie kryj prawdy w bawełnę, mówmy poufale.

Wiadomo ci najlepiej jakie mam zamysły,

Wypełnię co przyjaźni każe węzeł ścisły,

Szczęścia waszego pragnę, więc zmuszać nie będę:
Gdy zgodnie z jej życzeniem rękę jej posiędę,
Gdy mi Aniela czucia poświęci niezlomne,
Mój majątek waszym. Nie? i tak nie zapomnę
Ze ona jego córką, tyś Stolnika wdową.
No jakże? jeszcze milczysz, powiedz: jedno słowo;
Znasz mój sposób myślenia, wiesz jak prawdę lubię.

ZOSIA. (n. s.)

Zawsze lepsza przed ślubem, niżeli po ślubie.

S T O L N I K O W A.

Panie...

Z A C N I E W S K I.

Panie?...

S T O L N I K O W A.

Starosto!

ZOSIA. (n. s.)

Czegóż się tak sili?

S T O L N I K O W A.

Krótki jest dla przyszłości namysł jednej chwili.

Z A C N I E W S K I.

Aha... już wiem, pojmuję, wiem co się tu święci.

ZOSIA. (n. s.)

Może się też panienska od starca wykręci.

ZACNIEWSKI. (śartując)

Każno dziś Stolnikowo zgotować czarninę.

S T O L N I K O W A.

Będieszli krótką zwłokę uważać za winę?
Aniela mi przyrzekła, że w wieczór odpowie.

Z A C N I E W S K I.

Kiedy tak, a więc dobrze, koniec tej rozmowie;
A teraz na śniadanie, *(odchodzi ze Stolnikową)*

SCENA IV.

ZOSIA. *(sama)*

Na co te wykręty?

Prawdę wyznać, gdy można to jest zwyczaj święty.
Czego próżno odwłóczyć?.. jeżeli z Boga woli
Doczekać mi się córki błogi los dozwoli;
A spostrzegę, że stary do młodziuchnej dziewczki
Smie afekta oświadczać i smalić chołewki,
Choćby miał trzosa złotą, gardząc bogactwzbyt-
(kiem,
Natychmiast bym dziadula odprawiła z kwitkiem.
Bo kiedy stary z młodą połączył się! w stadło
Nie raz potem młokosów cierpieć mu wypadło.
Ja sługa, przecież mówię chcąc użyć swobody:
Precz stary i z majątkiem, pójdź biedny lecz młody!
Cóż mi z tego, że hojnie obsypie mię złotem?
W związkach z starcem nie pieniądz największym
(kłopotem:

(glosem trzęsącym)

»Lubuńku, serce moje!« rzeknie w uczuć tłumie,
I prócz »dobra noc duszko!« nic więcej nie umie!

SCENA V.

ZOSIA. JAN.

JAN. *(z radością)*

Zosieńku, Zosiuleńku, Zosieczku kochana!

Jak się masz? *(zmięwiając głos)*

Jedną chwilą wyprzedziłem pana...

(z radością) Widzę więc tę pulchniutką...

ZOSIA. *(zimno)*

Tyżeś to mój Janie?

JAN.

Tyżeś to? nie zła wróżba, piękne przywitanie!

Czy mię asindzka nie znasz, czy miał przybyć inny?

Eh do biesa! całusy witać mię powinny.

Biegłem co tylko deresz... djable ciężko nosi...

Nie zważam, myśląc, wszystko zapomnę przy Zosi.

Z O S I A.

Doprawdy?

JAN.

A doprawdy. Więc taka osłoda,

»Taka jest za cierpienia i wierność nagroda?

Z O S I A.

Dość już! właśnie też tobie wyrzuty przystoją,

Gdy czekam niecierpliwie aby zostać twoją.

J A N.

»Zostać twoją« rozumiem, o małżeństwie mowa,
Tyś widzę nie kochając za mąż iść gotowa.

Z O S I A.

Gdybym cię nie kochała, tobym cię nie wzięła.

JAN. (z wahaniem, spogląda na nią)

Żenić się.. do takiego chcieć przystąpić dzieła,
Kiedy się nie widziało kogoś przez trzy lata...

Z O S I A.

Dziwak jesteś! i cóż z tą?.. przy pracy czas złata
Nawet się nie wie kiedy.

J A N.

Ale przy spoczynku?..

Z O S I A.

No, no, bez tych domysłów wierny kupidynku,
A z resztą o nas później.. pan Wacław przybywa?..

J A N.

Wkrótce...

Z O S I A.

Więc go zobaczę! o chwilo szczęśliwa!
Inną natychmiast rzeczy przybiorą tu postać.

J A N.

Tak się cieszy jakby pan miał jej mężem zostać.

Z O S I A.

Sam nie wiesz co pleciesz..

J A N.

Tak, nie mów ci prawdy.
Otóż one wierności tak dowodzą zawdy!

Choć widzisz... ona powie: że masz jak kret ślepki,
Słyszysz: nie wiesz co pleciesz, brakuje ci klepki!

Z O S I A.

Proszę, jaka wymowa! grom spada po gromie,
Niech padają!.. ja pojdę panią uwiadomię. (*chce
odejść*)

J A N.

Nie pożegnasz się ze mną? czyliż słuszna kara...

Z O S I A.

Bądź zdrow.. gapiu! (*wybiega*)

J A N.

Bądź zdrowa moja ty! (*gdy odejdzie*) Poczwarą!

SCENA VI.

JAN. (*sam, po chwili*).

Niech mi teraz kto powie, anioły dziewczęta,
Niech mi to w oczy powie, długo popamięta!...
Przy odjeździe, zdrajczyńi we łzach się rozplywa,
Wracam, ta ledwie na mnie spojrzy niegodziwa!
Widać, że jej był odjazd miłszy od powrotu.
Rzecz straszna, dla miłości mieć tyle kłopotu,
Nie raz sobie mówiłem, to wstyd, coż u licha,
Mężczyzna zakochany, tak jak baba wzdycha.
Tymczasem ledwie człowiek cokolwiek zadrzymić,
Jest kochanka, z pieśczęcią wymawia twe imię,

Zawsze cię stale kocha i jęczy boleśnie,
Widzisz jak ci jest wierna, widzisz; ale we śnie.

SCENA VII.

JAN, WACŁAW.

W A C Ł A W.

Widziałeś mego wuja?

J A N.

Nie widziałem panie.

W A C Ł A W.

Czegożeś taki smutny?

J A N.

Przekłete kochanie!

W A C Ł A W.

Aha, zgaduję teraz co dręczy panicza,

Pewno Zosia.. (zartując)

mój Janie.. pleć piękna, zwodnicza!

J A N.

Co, zwodnicza? to mało, zdradziecka, szkaradna!

Przyjdzie czas, wkrótce męża nie dostanie żadna;

Pierwszy dam z siebie przykład, który wspomną wieki!

Czy mię szatan opętał, choć od niej daleki,

Myślę, czy tęskni za mną, czy pomyśli czasem,]

Przybywam: a tu sobie z niechcenia, nawiasem:

»Ah, tyżeś to mój Janie?« przez ząbki zapyta,

Czyliż w tém: »tyżeś Janie?« zdrada nie ukryta?

W A C Ł A W.

Te słowa nie dowodzą, że Zosia niechętna.
Czemuż im przywiązania nie naznaczysz piętna?
Ona pewnie z radością, z czuciem je wyrzekła.

J A N.

Ah bodaj za tę radość nie wybrnęła z piekła!

W A C Ł A W.

Posłuchaj mię z uwagą; to w naturze ludzi,
Zawsze się złe przed dobrem w duszy pierwszej zbudzi;
I ty chciałeś zapewne, zapalona głowo,
By wybiegła, krzyknęła: »duszy mej połowo!
»Wróciłeś! o radości! o mój Janie luby!
»Więc cię los tarczą swoją zachował od zguby!»

J A N.

Wcale by dobrze było, i tak być powinno.
Lecz inną odjechałem, a zastaję inną.

W A C Ł A W.

Przywidzenie, zaręczam. Cóż więcej mówiła?

J A N.

Oh rozmowę pamiętam, głęboko utkwiała.
Odchodząc: »bądź zdrów gapiu.« Teras pan nie
(powie,
Że mi zazdrość krokiewki pomieszała w głowie.

W A C Ł A W.

Żart:

J A N.

Prawda.

W A C Ł A W.

Nie.

J A N.

Tak.

W A C Ł A W.

Ześ gap'?

J A N.,

Nie.

W A C Ł A W.

Cóż brać do siebie?

J A N.

Przecież do mnie mówiła.

W A C Ł A W.

Nie słyszeć w potrzebie.

J A N.

Nie słyszeć?

W A C Ł A W.

Tak..

J A N.

Nie słyszeć, (*po chwili*) a kiedy mam uszy.

W A C Ł A W.

To też tylko masz uszy. Ciebie nic nie wzruszy,
Czuć nie umiesz słów lubej wdzięku i słodczy.

J A N. (*n. s.*)

Takich pożegnań wdzięku Jan serdecznie życzy.

W A C Ł A W.

Zresztą już o tém dosyć. O Anielo droga!

J A N.

Tak samo Zosię zwałem, przysięgam na Boga,

A teraz niech mię djabli... ale co ja czynię?
Za cóż mię? niech ją szatan porwie tę zdrajczynię!

W A C Ę A W.

Z jakąż niecierpliwością czekam związku chwili,
Znam dobrze twoje serce, przeczucia nie zmyli.
Pamiętałem o tobie wśród oręza szczęku. (*siada*)

J A N.

Licha tam o tém myśleć przy armatnim dźwięku.
Chociaż mam tęgie serce, znany zuch w pokoju,
A przecię zawsze stałem o milę od boju.
Raz tylko mię zdybano między walczącemi:
Granat świsnął, a ja.. buch!.. jak długi na ziemi.
Lecz gdy się przekonałem, że jeszcze nie zginał,
Spojrzę ci na przód, ja w tył. Grackom się wywinął.
Ochraniałem dni moje, w nadziei, że kiedy
Człowiek zakończy walki, i znoje i biedy,
Przy luběj, od pałaszów, lanc i armat zdała,
Będę mógł opowiadać na hańbę rywala
Który za piecem siedział, męstwa mego czyny,
Jak patrzałem na ogień, by zyskać wawrzyny...
Jak!....

W A C Ę A W.

Przestań już mój Janie...

J A N.

Skra, miłość kobiéca!

Zwykle tak prędko niknie jak się i roznieca.

Obyś pan był szczęśliwszy!

W A C Ł A W.

Co! moja Aniela,

J A N.

Zle kiedy zaufanie zbytecznie ośmiela.

W A C Ł A W.

Cnoty...

JAN. (*prędko*)

Zosia ma cnoty, tak wielkie jak sama!

(*z wspomnieniem*)

Gdy pisała, w miłości M wielkie jak brama.

Oh gdybym ja był odgadł co ta brama znaczy,

Nie byłbym się oddawał w tej chwili rozpaczy.

Sądziłem: że jej stałość chyba z życiem zgaśnie,

Ja za drzwi, do niej inny, niech ją piorun trzaśnie!

SCENA VIII.

WACŁAW, JAN, ZACNIEWSKI.

ZACNIEWSKI. (*wchodząc*)

Wocławie!

W A C Ł A W.

Wuju! (*uścisk*)

Z A C N I E W S K I.

O chwilo szczęśliwa!

Teraz zupełna radość w duszy się odzywa.

J A N.

To przecież powitanie, to nie uścisk Zosi.

Z A C N I E W S K I.

Idź, niech powrót Wacława radość we wsi głosi;

Niech się cieszą, weselą, syn kochany żyje!

JAN. *(odchodząc)*

Oh! jak mi wręce wpadnie, dalibóg zabiję!

(odchodzi)

ZACNIEWSKI. *(po chwili)*

No już dosyć, jak sądzę, tych trudów po świecie,

Może po tylu znojach spocziesz sobie przecie,

A wybrawszy żoneczkę.. już wybrać musiałeś..?

W A C Ł A W.

Mój wuju.. tak.. nie...

Z A C N I E W S K I.

To źle.. *(wpatrując się w niego)*

Jeszcze nie wybrałeś?

Wyznaj prawdę, trudno myśleć tylko o wawrzynach,

Wiem o tém: nieraz wkrótkich spoczynku godzinach

Obraz ładnej twarzyczki miłe cię przenika,

I westchnienie wyrywa z duszy twój tajnika;

Powiedz, smutek i radość, chętnie wuj podzieli.

WACŁAW. (n. s.)

Gdybym był pewny uczuć i serca Anieli
Wyznałbym bez namysłu...

Z A C N I E W S K I:

Czemuż to milczenie,

Może na myśl przywiódłem dotkliwe wspomnienie?
Przebacz mi, zaprzestałmy bajać o dziewczynia;
O twe szczęście troskliwy pytałem jedynie...
Chciałem aby dni naszych chwila najpiękniejsza.
Tchnęła samą radością, smutek ją twój zmniejsza.
Rzućmy przeszłość w niepamięć, i sobie oddani
Oddalajmy cierpienie co boleśnie rani.

W A C Ł A W.

Wiecznie będzie pamiętnym łaskawe przyjęcie.

Z A C N I E W S K I.

Wsamą porę wróciłeś.. pewne przedsięwzięcie
Istotnie obecności twojej wymagało,
Lecz wujaszek w obawie...

W A C Ł A W.

O mój wuju śmiało!

Z A C N I E W S K I.

Czy się nie domyśliłeś, powiedz tylko szczerze?

W A C Ł A W.

Nie.

Z A C N I E W S K I.

Eh.. gdyby... wiesz już?....

W A C Ł A W.

Co?

Z A C N I E W S K I.

Zgadłeś?

W A C Ł A W.

Nie.

Z A C N I E W S K I.

Nie wierzę.

(po chwili)

Wiesz, u mnie Stołnikowa z Anielą przebywa?

W A C Ł A W.

Wiem, i cóż z tąd...

Z A C N I E W S K I. *(chcąc wyznać)*

Ztąd wszystko. *(wstrzymuje się)*

Aniela szczęśliwa

Pędzi tu błogie chwile na przyjaźni łonie.

W A C Ł A W.

To przyrzekłeś ich ojcu...

Z A C N I E W S K I.

A prośby przy zgonie

I przyrzeczenia dane, są święte, niezłomne,

Zaprzysiągłem ich szczęście, o tem nie zapomnę.

W A C Ł A W. *(n. s.)*

Cóż usłyszę?

Z A C N I E W S K I.

Aniela doszła już tych latek,

Gdy z wdziękiem rozwinięty wabi oko kwiatek;

Pomyślałem więc sobie: rzecz bardzo bolesna
W tym wieku nie mieć pannie...

W A C Ł A W.

Obawa zawczesna....

Z A C N I E W S K I.

Ale nie mój Wacławie, wcale się nie boję,
Albowiem już gotowe są widoki moje,
Już jęj wybrałem męża...

W A C Ł A W.

Gdy mię tu nie było.

Z A C N I E W S K I.

Nie wiedziałem czy żyjesz.

W A C Ł A W. (n. s.)

Ah, to słyszeć miło.

(zapominając się)

Któż nim jest, pragnę poznać....

Z A C N I E W S K I.

Wacławie, cóż znaczy.

Ten jakiś rodzaj groźby, spojrzenie rozpaczy?..
Czyliż przyszłość Anieli?....

W A C Ł A W. (miarkując się)

Przyczyną bojaźni,

Dowód szczerze troskliwej o jej los przyjaźni.

Z A C N I E W S K I.

Nic więcej?

W A C Ł A W. (po chwili)

Nic.

Z A C N I E W S K I.

Kiedy tak, więc bądź bez obawy.

Przeznaczony małżonek, człowiek godny, prawy,
Równie jak ty przyszłością Anieli zajęty,
W uszczęśliwieniu widzi chowiązek święty.
Nie w pierwszej jego życie, prawda, już jest porze,
Lecz i jesień czasami przyjemną być może.

W A C Ł A W.

Co słyszę!

Z A C N I E W S K I.

Na cóż tać mój luby Wacławie,

Przyszłego nowożeńca zaraz ci przedstawię.
Lecz proszę, nie postępuj z nim sobie zbyt ostro;
Pamiętaj, że Aniela twoją prawie siostrą,
Wspaniałość pięknej duszy zaszczytem, ozdobą...

W A C Ł A W. (*niccierpliwie*)

Gdzież jest mąż, niechże poznam...

Z A C N I E W S K I.

Widzisz go przed sobą.

W A C Ł A W. (*n. s.*)

O nieba!

Z A C N I E W S K I.

Cóż na to?

W A C Ł A W.

Ja?

Z A C N I E W S K I.

Pragnę odpowiedzi.

Wzrok twój młodszy, więc łatwiej w przeszłości
Gdy już siły stargane i liczba lat nęka, (wyszedzi.
Miło kiedy życzliwa pomoc niesie ręka.

Nawet w ostatniej chwili, myśl ta wdzięcznie świeci:

Matkę po moim zgonie zostawię dla dzieci,

Dziećmi bowiem mojemu wieśniacy poczciwi.

Niech się kto chce naśmiewa, niech się kto chce dzi-

Ze w tym wieku o żonie jeszcze myśleć mogę; (wi,

Prawda, cokolwiek późno wybrałem się w drogę,

Lecz gdy milczy bezstronny mój sędzia, sumienie;

Dla dobra jej i mego, dziś się z nią ożenię.

Cóż ty mówisz Wacławie? widzę zasepiony,

Cheesz żeś się sam nie żenił, by nikt nie miał żony.

W A C Ł A W.

Nie, bynajmniej; lecz wuju, szczęścia nie posiędziesz.

Z A C N I E W S K I.

Na złość wszystkim, dziś jeszcze wujenkę mieć bę-

(dziesz.

A że nie terazniejszej człowiek jestem daty;

Kto wie czy nie usłyszę wyraz, Mamy, Taty.

(widząc smutek Wacława)

Czy postąpię rozsądnie, czyli też pobłędę,

Nigdy ci w mym zapisie krzywdy nie wyrządę.

WACŁAW. (z boleścią)

Najdotkliwsza dla serca spełnia się obawa.

Sądzisz więc, że interes...

Z A C N I E W S K I.

Czyż nie znam Wacława?

Wiem, że dla mnie świat wielki, poświęcisz z ochotą,

Czyn taki byłby piękną ale przykrą cnotą.

Dla ciebie świat nowością, młodość jest dla
(świata,

Niech więc jeszcze i twoja' pobuja, polata,

Przeminie ona wkrótce, dosyć czasu będzie...

Teraz, kochany synu, znasz w wiadomym względzie

Moje postanowienie i szczerze zamiary.

Oświadczyć więc to Anieli, jam do tego stary...

Jakoś przyjemniej zabrzmiałoby, gdy się z twych ust
(dowie

Zenić się trochę śmiesznie, kiedy śnieg na głowie.

Lecz nie my, ona sama niech sądzi korzyści,

Czy jej przyszłe nadzieje, związek ten uiszczy,

Zobaczem czyli dla mnie włoży ślubny wieniec,

Powie, czy ma wziąć bukiet siwy nowożeńiec,

Czy zezwoli?...

W A C Ł A W.

Zezwoli.

Z A C N I E W S K I.

Oh dałyby Nieba! (*odchodzi*)

SCENA IX.

WACŁAW. (*sam*)

Stało się! wdzięczność mówi, ulecz jej potrzeba!
Wszelka dla mnie pociecha wydarła na wieki.
W chwili, kiedym się mniemał szczęścia niedaleki,
Gdy mię błoga nadzieja wiodła w to zacisze,
Mógłżem myśleć, że wyrok mej śmierci usłyszę!
Gdy nas stoga powinność na zawsze rozdziela
Unikajmy jej ciosów... (*chce odejść*)

cò widzę? Aniela!

SCENA X.

WACŁAW, ANIELA.

ANIELA. (*z radością*)

Wacławie!

W A C Ł A W.

Pani!

A N I E L A.

Pani.

W A C Ł A W.

Przebacz!... (*niemogąc mówić*)

Ab nad siły!...

ANIELA. (*po chwili*)

Odtąd wierzę przeczuciom, wszystkie się sprawdziły.

W A C Ł A W.

Anielo, myśli moich i duszy władczyńi,
Znękanego rozpaczą niech serce nie wini.
Byłaś miłości, jesteś uwielbienia celem...
(*wstrzymuje się*)

Co czynię!

ANIELA. (*z zadowoleniem*)

Miłość twoja jest moim mścicielem.

W A C Ł A W.

Miłość! oh nie mów o tem.

A N I E L A.

Nie mówić? mój luby,

Dzień twójego powrotu...

W A C Ł A W.

Jest dniem mojej zguby.

A N I E L A.

Nie rozumiem cię wcale, przerażasz mię trwogą.

W A C Ł A W. (*n. s.*)

Ah czemuż usta moje zamilczec' nie mogą!

ANIELA. (*po chwili, ukrywając łzy*),

Ty, nie dobry Waclawie.. poznaję... to żarty!

Żartowałeś z Anieli... milczysz? eh, uparty!...

Czyż nie dosyć cierpiałam od rana do zmroku,

Zawsze świeżą łzę w moim mogłeś dostrzedz oku;

Ta wątpliwość, czy żyjesz, czy jestem ci miłą,
Gdyby nie głos nadziei, konaniem by była.
Teraz zrozumiej zmianę i uczuć i myśli.
Ah któż dokładnie radość téj chwili okryśli,
Gdy usłyszałam: „biegnij w Wacława uściski,
„Przyjechał!”

W A C Ł A W.

Srogi losie!

A N I E L A.

Kres boleści blizki,

Wszakże wierna Aniela w twojem sercu żyje,
A to wiecznie jest twojem które we mnie bije.

W A C Ł A W.

Mojem być nie powinno.

A N I E L A.

Co słyszę! o Boże!

(po chwili)

Nie, ja nie rozumiałam, nie, to być nie może.

W A C Ł A W.

Posłuchaj mię cierpliwie. Czyliż głos miłości
Silniejszym w tobie będzie od uczuć wdzięczności?

A N I E L A.

Dosyć.

W A C Ł A W.

Mój wuj...

A N I E L A.

Wiem wszystko. Oh ja nieszczęśliwa!
Niech więc wdzięczność, miłości potarga ogniwa!

Mniemałam, że twój powrót zamiary zniweczy,
Odwróci zgubny pocisk, przyszłość ubezpieczy;
Gdy tymczasem i Wacław, nadzieja jedyna,
Srogich ofiar wdzięczności sam się depomina.
Dobrze; żądacie wszyscy? dopełnię żądania.
Posłuszeństwo i wdzięczność, i miłość nakłania;
Któżby się oprzeć zdołał!... jestem już gotową.

(chce odejść)

W A C Ł A W.

Wysłuchaj mię, przez litość, błagam, jedno słowo!

(Aniela zatrzymuje się)

Kiedy się los zawistny przeciw mnie sprzysięga,
Gdy przytłumia uczucia niezłomna potęga;
Mamże, straciwszy dobro, co nad życie cenię,
Utracić nawet twoje litosne wejrzenie?!

A N I E L A.

Gdybyś mię kochał, prawdę wyznałbyś wujowi.

W A C Ł A W.

Ten związek jego życia szczęśliwość stanowi.

A N I E L A.

Czemuż ja równie o nim powiedzieć nie mogę!

W A C Ł A W.

Ty mu zaścielesz kwiatem krótką życia drogę,
Godzien twojej miłości...

A N I E L A.

Ja kocham go szczerze,

Jak ojca, tylko niech mię za żonę nie bierze.

W A C Ł A W.

Pokochasz go jak męża, jestem pewny prawie,
Zapomnisz o mnie z czasem...

A N I E L A.

Zapomnę... Wacławie!...

W A C Ł A W.

Matka cię błaga, Wacław, twój Wacław cię prosi,
Nie patrz, że lica jego łza obficie rosi...

(*tkając*)

Przyszłość ją wycisnęła... chwila niedaleka...
Zasłubisz go?.....

ANIELA. (*po chwili*)

Zasłubię; choć męczarnia czeka.

Gotowa już ofiara, przyspieszcie zamęźcie,
Ja, dla szczęścia was wszystkich, zniszczę własne
• (*odchodzi*) (*szczęście!*)

SCENA XI.

WACŁAW (*później*) JAN.

W A C Ł A W.

Stałe się! o mój wuju! (*siada*)

(*głosy za sceną*)

Niech żyje! niech żyje!

W A C Ł A W.

Jakże boleść głęboką, cierpienie ukryję!

JAN. *(za sceną)*

Dobrze, lecz zaczekajcie, taka moja rada.

(wchodzi)

Ledwom ich zdołał wstrzymać, bo cała gromada,
Na wieść pana powrotu, porzuciwszy pracę,
Biegła z krzykiem radosym: *(naśladując głos wie-
śniaków)* „panica zobacę!”

Cała wieś mię otacza i do dworu leci,
Starzy, młodzi, kobiety, chłopaki i dzieci.
Lecz najpierw dziewczęta; *(filuternie)*
w głowie mi prysnęło....

(patrząc na Wacława)

Hm... hm... znam się. Pan wzdycha! a to z kąd się
(wzięło?

W zakład siebie postawię, zdradziły obiedwie,
Ha! z gniewu i wściekłości oddycham zaledwie!
Tego nie puścimy płazem, za taką niewiarę,
Niech i pani i sługa godną znajdzie karę!

WACŁAW. *(zamyślony)*

Aniela!

JAN. *(n. s.)*

Co! djablicą zwacby się powinna!

(głośno)

Otóż pańska Aniela, nie taka jak inne.

Niewinnością oddycha, dusza cnotą zdobna,
A ona, jak dwie kropie do Zosi podobna.

W A C Ł A W.

Bez porównań, czy słyszysz?

J A N.

O co się pan gniewa,

W A C Ł A W.

Nie wiesz...

J A N.

Oh wiem dokładnie jak ten ptaszek
śpiewa.

Ala odważnie, panie rzućmy na bok żale.

Stale postanowiłem. Zosi w łeb wypalę.

Przyrzekam uroczyście...

W A C Ł A W.

Co czynić, niestety!

J A N.

Zabić, zgoda? więc pójdę po dwa pistolety.

(po chwili)

Prawdziwa kara Boska z temi kobietami.

Do czego nam kobiety?.. Mówiąc między nami:

Mężczyzni aniołowie, niech pan tylko zważa,

Czy wierny jego sługa źle rzecz wyobraża:

Kobiety, już od wieku musiały być złemi,

I widać, że nie jedna z mieszkańek tej ziemi

W niebie nigdy nie będzie, bo wziąwszy rzecz
(zblizka

Nawet niema na świecie anielic nazwiska.

A co się tycze piekła, głowa nie zaboli

A wnet wyliczę nazwisk prześlicznych do woli,

Naprzykład: farja, jędza, źmija, czarownica,

Otóż jest odgadniona wielka tajemnica:

Że karą jest ród niewiast; one ciężar srogi,

Z niemi żyć, oto droga przez ciernia i głogi!

Ewa, nad głos anioła przeniosła głos węża;

A gdy pierwsza z żon była już nieszczęściem męża,

Kiedy matka ich wszystkich już diabła słuchała.

Nic dziwnego, za matką poszła banda cała.

Ale już mię nie złapią, mam dobrą naukę,

Już poznałem ich podejść filuterską sztukę,

I wolę kawalerem zgrzybiałym pozostać,

Niż będąc sam aniołem, diablicy się dostać!

Postanowiłem święcie, szczerze i niezłomnie,

Zapomnieć o miłostkach, pędzić życie skromnie.

Lecz, chociażem z natury łagodny baranek,

Gdybym tu ujrzał Zosię, wzór wiernych kochanek,

Pan byłbyś świadkiem, jak Jan zniewagi mścić umie

Nie lubię czężej gawędki, ja próżno nie szumię,
To wściekłość struczniżona, to jest jad wężowy!

SCENA XII.

WACŁAW, JAN, ZOSIA.

ZOSIA. (*wchodząc*)

Pana Wacława proszą na obrzęd godowy.

JAN. (*n: s.*)

Piekła i Nieba!

ZOSIA. (*widząc, że Wacław zamyślony*)

Panie, już Notariusz czeka!

W A C Ł A W.

Już? niech chwila radości dla mnie się nie zwleka.

Z O S I A.

Jakto, czy pan podpisze?

W A C Ł A W.

Ona podpisała?

Z O S I A.

Uległa prósbom matki.

WACŁAW. (*z rozpaczą*)

A więc nie kochała!

Aui, najmniejszej zwłoki. W tylu trosk kolej

Nawet najślaby promień już przygasa nadziei.

(*odchodzi*)

SCENA XIII.

JAN, ZOSIA. (*stoją długo, nic nie mówiąc*)

JAN. (*n. s.*)

Teraz grę rozpoczniemy, już rozdane karty.

ZOSIA. (*n. s.*)

Nie zaczepi mię pewno ten bałwan uparty.

JAN. (*patrząc z pod oka, mówi niby do siebie tak jednak żeby go Zosia słyszała*)

Co za oczy szatańskie!

ZOSIA. (*tak samo*)

Jak zyzem spoziera.

JAN. (*j. w.*)

Lica blade, zsiniałe, żółta jak wosk cera.

Miałem się też w kim kochać, taki kloc nie zgrabny.

ZOSIA. (*j. w.*)

Otóż to są mężczyźni.

JAN. (*j. w.*)

Jaki głos powabny.

Jak przedtęj waltorni...

ZOSIA. (*j. w.*)

Heż znieść potrzeba!

J A N.

A twarz puciołowata jak bochenek chleba.

Prześlicznie bym wyglądał w małżeńskiej z nią parze,

Jak na dziwby patrzyli.

ZOSIA. (*j. w.*)

Raz skończy potwarze;
Słuchajmy ich cierpliwie.

JAN. (*n. s.*)

Coś do siebie gada.

(*j. w.*) Nawet postać schylona zgrzybiałego dziada:

ZOSIA. (*po chwili milczenia, zbliża się do Jana*)
Janie!

JAN. (*odwracając się raptownie*)

Złóż dzięki Niebu, że nie mam pałasza!
Precz stąd! już mię nie złudzi ta układność wasza.

Z O S I A.

Ah, proszę cię na Boga!

J A N.

Prosisz nadaremnie.

ZOSIA. (*klęka, udając żal*)

Pragniesz więc mojej śmierci?...

J A N.

Będzie mi przyjemnie.

ZOSIA. (*j. w.*)

Wierna ci zawsze, stała...

J A N.

Dosyc tej pochwały

Znany z pięknej stałości, znany wasz ród cały.
Nie chcę cię widzieć więcej.

(41)

Z O S I A.

Próżno żebrzę, płaczę.

J A N.

Kłęcz do jutra!

Z O S I A.

Przebaczysz?

J A N. (*chce odejść*)

To później zobaczę.

Z O S I A. (*wstaje, zatrzymuje go*)

Nie, nie zechcesz niewinnej wskazywać na mężkę,
Ja bez ciebie usycham.

J A N.

Uschnij!

Z O S I A.

Daj mi rękę,

J A N.

Precz mówię!

Z O S I A.

Choć się gniewasz, jednak coś mię nęci...

Czyliż to: bądź zdrów gapiu! przyczyną niechęci?

J A N.

Ha! przywiodłaś na pamięć wszystkie twoje zbrodnie!
Przyrzekłem śmierć ci zadać...

Z O S I A. (*zudanyim żalem*)

Rozłączmy się zgodnie,

Przez litość, spojrzysz na mnie twojem pięknem okiem.

4*

J A N.

Możeby mi ta litość wyszła później bokiem.
Mniemałaś, że to Jana wytrząsnąć z rękawa,
Ze go pchnie lewa ręka, a przywabi prawa;
Gapiu, znajdź mi równego, proszę, szukaj śmiało.
Podobnych gapiów nie ma, albo bardzo mało,
I gdybyś świat przebiegła od końca do końca
Takiego jak ja gapia, nie znajdziesz jak.. słońca.

Z O S I A.

Przebacz mi więc wspaniale, zapomnij urązy!
Jakiemiż cię, już nie wiem, mam błagać wyrazy?

J A N.

Jestem nieprzebłagany, gardzę tobą wiecznie,
A jeśli chcesz kochanko pójść za mąż koniecznie,
Słuchaj: przysiągłem, wiedząc, że rodzaj niewieści
I wtenczas miłość zmyśla, gdy się znami pieści,
Zywego nie poprawisz, śmiało się założę,
Umrzyj, po twojej śmierci namyślę się może.

SCENA XIV.

JAN, ZACNIEWSKI, ANIELA, WACŁAW, ZOSIA.

ZACNIEWSKI. (*wprowadza Anielę*)

No, dzięki Niebu, wszystko pomyślnie skończone,
Nigdy się nie spodziewałem w tym wieku mieć żonę,
Jeszcze żonkę.. (*do Wacława*)

Sam przyznaj, że śliczniuchna ciotka.
Nie łatwo się podobną w tysiącach napotka,
Takię ci synu życzę; nie patrz na dostatki,
Z ubogich masz najczęściej dobre żony, matki,
Każdą przygodę życia takie chętnie dzielą,
Pomyślność utrzymują, w smutku rozweselą.

ANIELA. (n. s.)

Ileż cierpię!

Z A C N I E W S K I.

Przypatrz się, jak ona szczęśliwa,
A łza która w tej chwili po jej licach spływa,
Tkliwego przywiązania niewątpliwe znamie.
Tęj serca jestem pewny, wiary nie przełamie.

(patrząc na Wacława i Anielę)

Cóż to się znaczy, smutek? piękny dzień wesela!
Wacławie, ty bądź wesół; że smutna Aniela
Nic dziwnego, oddawna przyjętym zwyczajem,
Zawsze nowe małżonki ze łzami dostajem.
Ale na twojej twarzy radość jaśnieć winna;
Przykrzy się już, jak widzę, zagroda rodzinna,
Słyszałem jak mówiłeś: każ zaprzęgać Janie.

ZOSIA. (do Jana)

Wyjeżdżacie?

JAN. (*do Zosi*)

Niewszyscy. Pan Maciej zostanie.

A N I E L A.

Jakto, Wacław odjeżdża?

W A C Ł A W.

Tak, natychmiast pani.

Z A C N I E W S K I.

Chociaż t \acute{e} m oddaleniem serca nasze rani,
C \acute{o} ż czyni \acute{c} ? gdy mniej o nas, wi \acute{e} c \acute{e} j dba o siebie...
Może te \acute{z} musi ule \acute{d} z rozkazom, potrzebie.
Niech jedzie, przyk \acute{a} d wuja pewnie go pobudzi,
Poszuka \acute{z} ony...

W A C Ł A W.

Nigdy.

Z A C N I E W S K I.

Mowa m \acute{o} lodych ludzi.

I jam zupełnie taki mia \acute{l} sposob my \acute{s} lenia,
Ale wiek, do \acute{s} wiadczenie, z czasem go odmienia.
Milo mie \acute{c} przyjaciela w p $\acute{o$ znej \acute{z} ycia dobie,
Kt $\acute{o$ ry nas piel \acute{e} gnuje, dogl \acute{a} da w chorobie.
Taki tylko przyjaciel wi \acute{a} że nas do \acute{z} ycia.
Krewni, najcz \acute{e} st \acute{e} iej pragn \acute{a} spiesz nego pozbycia,
Prawda, s \acute{a} oni wszyscy w ostatnim momencie,
P \acute{l} aczą rzewnie, by o nich wspomnie \acute{c} w testamencie.

W A C Ł A W.

Wuju, czy \acute{z} zasłu \acute{z} yłem na ten wyrzut srogi?

(*słychać turkot zaje \acute{z} d \acute{z} ającego powozu*)

Z A C N I E W S K I.

Cóż to, powóz zajechał, gotowy do drogi.

ANIELA, (n. s.)

Nieba!

W A C Z A W.

Nie, nie odjadę, póki wuj kochany
Zadanej mi wyrzutem, nie zagoi rany.
Nigdy może niesłuszniej, nie był uczyniony;
A teraz, gdy w dalekie los mię rzuca strony,
Kiedy chwila powrotu Bóg wie czy nastąpi,
Zamiast błogosławieństwa...

Z A C N I E W S K I.

Przymówek nie skąpi.
Przebacz mi, przebacz synu, nie mogę cię winić.

(z znaczeniem)

Każdy człowiek honoru tak powinien czynić;
Gdy mu wuj jego dobro najwyższe wydziera,
On milcząc szczęścia życzy, i milcząc umiera.
Wiem wszystko, znaną była twoja tajemnica,
Chlubię się dzisiaj tobą, ten czyn cię zaszczyca.

(oddając mu papier)

W twoje ręce najgodniej majątek złożony.
A jeśli, jak powiadasz, opuścisz te strony,

Gdy cię widzieć nie będę, przy dni moich kresie,
Błogosławieństwo tobie myśl chętna poniesie.

(*ściska go*)

W A C Ł A W.

Żegnam cię wuju! (*chce odejść*)

Z A C N I E W S K I.

Wszystkich okrywasz żałobą.

W A C Ł A W. (*do Anieli*)

Żegnam.

Z A C N I E W S K I.

Jedziesz?

W A C Ł A W.

! Natychmiast.

Z A C N I E W S K I. (*wskazując Aniełę*)

Weźże żonę z sobą.

W A C Ł A W , A N I E Ł A .

Co słyszcz?!

Z A C N I E W S K I.

Prawdę szczerą. Anieła jest twoją,

Tobie bardziej niżli mnie te związki przystoją,

Była to tylko kara, za uczucia skrytość.

Znałem ją, oto dowód. (*oddaje mu Aniełę*)

A N I E Ł A .

Ah panie, przez litość,

Jestże to rzeczywistość, czyli też snu jawa?!

Jestem więc najszczęśliwszą.

Z A C N I E W S K I.

Bo żoną Wacława.

Wyście dziś kładąc wdzięczność na przeważnej szali;

Boleścią zdjęci, związek własny podpisali.

W 4wyc rękach intercyza.

; ANIELA i WACŁAW.

O szczęście! rozkosze!

ZACNIEWSKI. *(do Anieli)*

Czemuż nie płaczesz teraz? *(do Wacława)* I ten

(wesół, proząc.

(niby surowo)

Także się to wdzięczności wujowi dowodzi,

Tém bardziej kiedy smutny od żony odchodzi.

W A C Ł A W.

Wuju mój...

A N I E L A .

Dobroczyńco!

Z A C N I E W S K I.

Oh, i tego nie lubię! Idźcie Stolnikowej,

Złożyć szczerę podziękę za ten pomysł nowy.

Ona dostrzegłszy pilnie tajonych płomieni,

Mnie poleciła karę, bo otwartość ceni.

Czeka nas niecierpliwie. Dziś w mych dzieł gromie,

Spełniwszy szczęście wasze w kielichy zadzwonię.

(odchodząc, postrzega Zosię)

Zosiu, cóż twoja prośba, czy masz już lubego?

ZOSIA. *(z ukłonem patrząc na Jana)*

Mam już, tak mi się zdaje.

JAN. *(n. s. z gniewem)*

Oh ma nie jednego!

Z A C N I E W S K I.

Przyrzeczenia dotrzymam, przecież chłopców roje,
Wyprawię ci wesele. *(odchodzi, między Anielą i
Wacławem)*

SCENA XV I OSTATNIA.

JAN i ZOSIA. *(stoją długo i milczą)*

J A N.

Jak na szpilekach stoję!

ZOSIA. *(odwrócona)*

Ja nie zacznę.

J A N.

Co począć?

ZOSIA. *(d. s.)*

W niemałym kłopotcie.

J A N.

Pan się tutaj zostanie, myślący o obrocie....

ZOSIA. *(naśladując Jana)*

Co to za wzrok szatański!

J A N.

Nieszpetna dziewczyna!

Rumieniec jak różyczka, buzia jak malina.

ZOSIA. (*j. w.*)

Twarz martwa i bez czucia, krótkie to i tłuste,
Jak pieniek, którym zwykli ubijać kapustę.

J A N.

Jaka figurka wcięta, niech mię kaci biorą!...
Idźmy do niej ze skruchą, żalem i pokorą.

Z O S I A.

Miałam też kogo kochać... sama się dziś wstydzę.

J A N.

Prawdziwy anioleczek.

Z O S I A.

Potwór z piekła widzę.

J A N.

Słyszac takie pochwały, trudno mieć nadzieję;
Spróbujmy, przecięz mówią, miłość nie rdzewieje.

(*zbliżając się do Zosi*)

Zosiu.

ZOSIA. (*zrywa się z komicznym gniewem*)

Ha! dziękuj Bogu, że nie mam pałasza.

J A N.

Porzuc żarty.

Z O S I A.

Nie złudzi mię układność wasza!

Słyszałeś co pan mówił: »przecięz chłopców roje,
»Wyprawię ci wesele.«

J A N.

(*prosząc*) Zwróćże ślępki twoje...

ZOSIA. (*udając że nie słyszy*)

Szukajmy tedy męża.. dla ładnej dziewczyny.....

JAN. (*n. s.*)

Biédna, złych ma sąsiadów.... (*głośno*)

Skarbie mój jedyny!

Z O S I A.

Teraz skarbie, a wprzódy Janie co to było?

JAN. (*klękając*)

Zosiu!

Z O S I A.

Klęcz, klęcz, paniezu! doświadczył jak to miło.

Klęcz do jutra, a może spojrzeniem uraczę.

J A N.

Będę klęczał, przebaczysz.

Z O S I A.

Ha, później zobaczę.

(*po chwili*)

Ale nie, ja'm wspanialsza, powstań, powstań Janie.

Przebaczam.

J A N.

Więc na zgodę daj pocałowanie. ❧

Z O S I A.

Oh zwolna! nie tak prędko, jeszcze nie po ślubie.

J A N.

Ale bo widzisz czekać djabelnie nie lubię.

Z O S I A.

Jeśli się nie podoba..

JAN. (*uwważając ją pilnie*)

Nie o tem...

Z O S I A.

Cóż jeszcze?

J A N.

Kiedy słodkiej przyszłości już się myślą pieszczę,
Powiedz mi, tylko szczerze: dawne znajomości
Nie przyłączają się czasem do naszej miłości?

Z O S I A.

Nieufność godna kary.

J A N.

Czyliż karać trzeba,

Ze mię także mężczyzną utworzyły nieba?
Z tem uczuciem wrostamy, przecieź dobrze wiecie:
Aby nigdy zupełnie nie ufać kobiecie.

Z O S I A.

Poznaj więc uczuć wyższość, to nasza zaleta,
Choć niewinnie dręczona, przebacza kobieta.

K O N I E C.

WET ZA WET.

KOMEDIA

W JEDNYM AKCIE

z Francuzkiego tłumaczona

P. Duhal.

(Drugie wydanie.)



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 19 Kwietnia 1830 roku.

O S O B Y.

Pocziwski, właściciel kil-	
ku wiosek	JP. <i>Niwiński.</i> }
MALWINA, młoda wdowa	JPa. <i>Werowska.</i>
ZALOTNICKI, pułkownik	JP. <i>Jasiński.</i>
SŁAWNICKI, porucznik	JP. <i>Giżewski.</i>
JÓZEF, lokaj Pocziwskiego	JP. <i>Majewski.</i>
Służący	

(*Scena we wsi p. Pocziwskiego.*)

W E T Z A W E T.

SCENA I.

(Teatr przedstawia pokój)

POCZCIWSKI, MALWINA.

P O C Z C I W S K I.

Dziwi mię to mocno, że jeszcze nie widać
mojego porucznika.

M A L W I N A.

Pewna jestem, że kochany wuj znów o no-
wym dla mnie zamyśla małżeństwie. Co za
szkoda, że przy zdobiących cię najlepszych
przymiotach, posiadasz małą wadę, na którą
ja najbardziej uważać się powinnam.

P O C Z C I W S K I.

Cóż to za wada, kochana Malwino?

M A L W I N A.

Żenienia wszystkich; dla tego też ciągle myślisz o nowych dla mnie związkach. Którykolwiek z znajomych, byłw domu twoim, albo któregokolwiek z przyjaciół byłeś ty kochany wuju, natychmiast układałeś nowe dla mnie postanowienia. Szczęściem jeszcze miłośność twoich upodobań, bo przeznaczony mi małżonek już traci u ciebie łaskę, skoro się tylko nowy nawinie... A tak ponieważ zawsze ostatni przybywający otrzymuje pierwszeństwo, wolną jestem dotychczas od tych nudzących, jednostajnych oświadczeń.

P O C Z C I W S K I.

Czy można za złe poczytywać, że się zajmuję twojem szczęściem?

M A L W I N A.

' Ale kiedy będąc wolną jestem szczęśliwą, dla czegoż mój wuju przemianą stanu, chcesz przyszłość moję uczynić wątpliwą. Pamiętasz pan dobr, że zawierając pierwsze związki, uległam bardziej jego woli aniżeli skłonności serca. Kiedy więc śmierć, zerwała te węzły, dozwól mi unikać powtórných, a przynaj-

mniej wstrzymaj się dopóki to serce nie zerwie ich z własnego wyboru.

P O C Z C I W S K I.

Domyślam się.. serce twoje zajęte tym oficerem, który podczas jakiejś zabawy w Warszawie...

M A L W I N A.

Nie przeczę, dwuletni przeciąg czasu nie zmniejszył pierwszego wrażenia. Jego postać, przyjemne obejście, szlachetny postęp, wszystko to jest obecnym mojej pamięci.

P O C Z C I W S K I.

Dziwactwo kochana Malwino, czy być może, abys uczuła jakąś skłonność do człowieka, z którym ledwo mówiłaś przez godzinę, którego nawet nazwiska nie wiesz, nie znasz przymiotów osobistych.

M A L W I N A.

Wszystko prawie w życiu naszym zawisło od pierwszego wrażenia mniej lub więcej korzystnego. Nie zapomnę tego nigdy, kiedy podczas zabawy w Warszawie, otoczona liczną zgrają młodzieży, odłączyłam się przypadkiem od osób mi towarzyszących. Sama, wystawiona na przykre i przesadne grzeczności tłumu

fircyków, nie wiedziałam co mówić, co czy-
nić, co komu odpowiedzieć. Pomieszanie mo-
je uzuchwalało jeszcze to grono trzpiotów, gdy
przybliżyła się młody oficer, poskramia niede-
likatność kilku zbyt śmiałych młodzików, i
ofiaruje się być moim przewodnikiem. Zo-
bawą przyjąłam jego ofiarę, lecz ta uprzej-
mość, ten szacunek z jakim się dla mnie oka-
zał, wkrótce uczyniły go w oczach moich
a może i w sercu, prawdziwym przyjacielem.
I kiedy po kilku chwilach wyszukiwania zna-
lażłam moje towarzystwo, nie wiem czy dusza
radością, czy smutkiem oddychała, trzeba by-
ło bowiem pożegnać nieznanego przewo-
dnika.

P O C Z C I W S K I.

Otóż to kobiety! zawsze tylko romanse i ro-
manse... bodaj was!...

S C E N A II.

C I Ź I J Ó Z E F.

J Ó Z E F.

Sniadanie, podług rozkazu pańskiego, już
zastawione w altanie ogrodowej. (*odchodzi*)

SCENA III.

CIŻ, bez JÓZEFA.

M A L W I N A.

Dla czegoż aż w ogrodowej altanie, kiedy dotychczas pod wystawą...

P O C Z C I W S K I.

Jeszcze się nie domyślasz? z altany widac dokładnie drogę od Warszawy.

M A L W I N A.

I cóż ztąd?

P O C Z C I W S K I.

Oto to ztąd, że nasz młody Sławnicki tą drogą do nas przybędzie, zobaczywszy go, przywołamy...

M A L W I N A.

Czy poznasz go kochany wuju? powiedziales mi, żeś go widział dzieckiem jeszcze...

P O C Z C I W S K I.

Prawda, ale mundur, stopień... Ah dzisiaj dzień uroczysty dla mnie. Uściskam syna mojego dawnego przvjaciela.

M A L W I N A.

I odtąd będziemy mieć liczne towarzystwo.

P O C Z C I W S K I.

Dla czego?

M A L W I N A.

Bo panowie wojskowi, postępują sobie bez ceremonji. Mój narzeczony, pan porucznik, nie omieszka zapewne przedstawić kilku swoich poufanych przyjaciół, ci przyjaciele następnie znów po kilku przedstawiają, i tak od porucznika do kapitana, od kapitana do majora, od majora do pułkownika, wszyscy odwiedzać nas będą.

P O C Z C I W S K I.

Oh bądź spokojną, albowiem w liście zapraszającym Sławnickiego, wyraźnie zaleciłem mu aby nikogo z sobą nie przywoził, a szczególnie aby zamilczał o tobie przed swoim pułkownikiem.

M A L W I N A.

Dla czegoż to mój wuju?..

P O C Z C I W S K I.

Bo ten pułkownik, jak mówią, ma być bardzo niebezpieczny dla kobiet.

M A L W I N A.

Czy tak? obudziłeś pan ciekawość we mnie. Zkądże wiesz o tem?..

P O C Z C I W S K I.

Od Józefa, który u niego służył dosyć długo, możesz się przekonać sama.

SCENA IV.

POCZCIWSKI, MALWINA, JÓZEF.

JÓZEF.

Co pan rozkaże?

MALWINA.

Służyłeś podobno u jakiegoś pułkownika?

JÓZEF.

Służyłem u pułkownika Żalotnickiego. Ah, pani dobr. co za człowiek, ogień, siarka, słowem skończony żołnierz. Z równą zręcznością umie podbijać serca kobiet jak męztwem zwyciężać nieprzyjaciół. Jestem pewny, że gdyby panią raz zobaczył, użyłby wszystkich podstępów ażeby się jej przypodobać... i kto wie czyby tego nie dokazał...

MALWINA.

A ja aż nadto pewna jestem, że wszystkie jego usiłowania byłyby bezskuteczne.

POCZCIWSKI.

Jabym się jednak o to nie założył... słyszałem wiele o nim... djabeł nie człowiek.

MALWINA.

A zresztą miłoby mi nawet było przyznać zwycięstwo jakiemu przebiegłemu płukownikowi, bo te nudzące wzdychania lękliwych

M A L W I N A.

Bo panowie wojskowi, postępują sobie bez ceremonji. Mój narzeczony, pan porucznik, nie omieszka zapewne przedstawić kilku swoich poufanych przyjaciół, ci przyjaciele następnie znów po kilku przedstawia, i tak od porucznika do kapitana, od kapitana do majora, od majora do pułkownika, wszyscy odwiedzać nas będą.

P O C Z C I W S K I.

Oh bądź spokojną, albowiem w liście zapraszającym Sławnickiego, wyraźnie zaleciłem mu aby nikogo z sobą nie przywoził, a szczególnie aby zamilczał o tobie przed swoim pułkownikiem.

M A L W I N A.

Dla czegoż to mój wuju?..

P O C Z C I W S K I.

Bo ten pułkownik, jak mówią, ma być bardzo niebezpieczny dla kobiet.

M A L W I N A.

Czy tak? obudziłeś pan ciekawość we mnie. Zkądże wiesz o tém?..

P O C Z C I W S K I.

Od Józefa, który u niego służył dosyć długo, możesz się przekonać sama.

SCENA IV.

POCZCIWSKI, MALWINA, JÓZEF.

J Ó Z E F.

Co pan rozkaże?

M A L W I N A.

Służyłeś podobno u jakiegoś pułkownika?

J Ó Z E F.

Służyłem u pułkownika Żalotnickiego. Ah, pani dobr. co za człowiek, ogień, siarka, słowem skończony żołnierz. Z równą zręcznością umie podbijać serca kobiet jak męztwem zwyciężać nieprzyjaciół. Jestem pewny, że gdyby panią raz zobaczył, użyłby wszystkich podstępów ażeby się jej przypodobać... i kto wie czyby tego nie dokazał...

M A L W I N A.

A ja aż nadto pewna jestem, że wszystkie jego usiłowania byłyby bezskuteczne.

P O C Z C I W S K I.

Jabym się jednak o to nie założył... słyszałem wiele o nim... djabeł nie człowiek.

M A L W I N A.

A zresztą miloby mi nawet było przyznać zwycięstwo jakiemu przebiegłemu pułkownikowi, bo te nudzące wzdychania lękliwych

kochanków, których moje owdowienie przynęca i których ty mój wuju nastreczasz; te śmieszne wynurzenia uczuć tak mi się sprzykrzyły, że już je znieść trudno. Z kochankiem, jak mi wystawiono pułkownika i walka jest zaszczytną. Wybieg na wybieg, podejście na podejście, zmyślenie na zmyślenie, słowem; czy zwyciężyć czy być zwyciężoną, zawsze jest chwałą.. Ah wierz mi mój wuju.

P O C Z G I W S K I.

Zwolna, zwolna moja Malwino, powściągniej twój zapal, pamiętaj na to, że twoje życzenia spełzną na niczém. A teraz idźmy na śniadanie.

M A L W I N A,

Dobrze. Pójdźmy więc na spotkanie tego nowego adonisa. Może być, że się mylę, ale mi się zdaje, że i on nie ujdzie losu swoich poprzedników. Przyjdzie, zobaczy, może pokocha, oświadczy się, kochany wujaszek podług przyjętego zwyczaju przedstawi mi go na męża, ja odmówię, to cię rozgniewa, ale ja cię uścisknę przyjaźnię, kilka łez spłynie po mojem obliczu, gniew cię opuści; a pomie-

szany i zawstydzony kochanek, śladem innych uwolni nas w krótkce od od swojej osoby a razem i miłości.

P O C Z C I W S K I.

No, no, zobaczymy, trafisz ty kiedy psotnico na swojego.. a wteczas... Ale pójdźmy, śniadanie ostygnie.

SCENA V.

JÓZEF. (*sam*)

Dalibóg mój pan ma bardzo chwalebny zamiar, żenienia wszystkich z swoją siostrzenicą. Im więcej się ma kochanków, tem dłużej można w nich wybierać, a im się dluzej wybiera, na lepszego można trafić. A moze i nie, pamiętam w Warszawie, małym jeszcze byłem kiedy za moją ciotką ubiegała się banda młokosów, ona przebierała i przebierała, tak długo, że się panną zestarzała; przynajmniej dotychczas tak się tytułować każe.. (*chce odejść*) Ktoś wjeżdza na dziedziniec, nasz oczekiwany porucznik Sławnicki... ale nie, dalibóg on.. eh nie.. ale tak, nie myślę się, pułkownik.. co to znaczy?..

SCENA VI.

ZALOTNICKI, JÓZEF.

ZALOTNICKI. (*za sceną*)

Proszę donieść panu Pocziwskiemu, że porucznik Sławnicki chce mu złożyć swoje uszanowanie.

JÓZEF.

A to cò? pułkownik Zalotnicki każe się anonsować pod imieniem porucznika. Eh to nie jest bez kozery.. jakaś tajemnica.. tém lepiej, Józefie otwiera się gratka dla ciebie; pułkownik rozpoczyna intrygę, powinienes mu dopomagać, i pozyskać zupełną ufność. Zna moję gorliwość, moję sprawność, rozsądek. Zrecznie wsunąć bilecik, odrwić opiekuna, zotrzymać rywala, milczeć, mówić, skłamać na przedce, wszystkie te zalety w niepospolitym posiadam stopniu, gdy mi kto zapłaci.

ZALOTNICKI.

Dobrze, zaczekam, w tym pokoju. (*miniema że jest sam*) Wybornie, nikt mię tu nie zna.

JÓZEF.

Prawda, że nikt panie pułkownika.

Z A L O T N I C K I.

Co słyszę? któż ty jesteś? ah to ty!... z kąd się tu wzięłeś hultaju?

JÓZEF. ~ (kłania się)

Ze też pan dobrodziej od razu mię poznałeś. Ale co tu pan pułkownik czynić zamysła?

Z A L O T N I C K I.

Mów ciszej, albo raczej milcz zupełnie. Przestałem być pułkownikiem Zaletnickim, widzisz we mnie porucznika Sławnickiego.

J Ó Z E F.

A czy nie można by się dowiedzieć o zamiarach pana porucznika Sławnickiego?

Z A L O T N I C K I.

Wyznaję, bardzo mi jesteś na przeszkodzie.

J Ó Z E F.

Ah, krzywdzisz mię pan pułkownik. Czyliż nie dałem tyle dowodów, że jestem najprzezorniejszy posłaniec, najostroźniejszy od dawca, najzręczniejszy kłamca w potrzebie.

Z A L O T N I C K I.

I największy oszust!

J Ó Z E F.

Jedno nie przeszkadza drugiemu. W każdym zawodzie, wielkim być można panie do-

brodzieju; a prócz tego, gdybyśmy wszystkich ludzi co krzywą drogą ehodzą, oszustami nazywać chcieli, niewielka liczba znalazłaby się takich, coby pocziwych otrzymała nazwisko. Ale przystąpmy do rzeczy, czas drogi, zaręczam panu, że mu dopomogę we wszystkiem.

Z A L O T N I C K I.

Pamiętaj, że na twoje zaręczenie, bo gdybym się na niem zawiódł, nie wiem kto z nas dwóch więcejby tego żałował. Słuchaj. Przyjeżdżam tu w chęci pomszczenia się nad panem Pocziwskim; wiesz zapewne, że dziś oczekują porucznika Sławnickiego, którego zaproszono na dui kilka. Ale o tem nie wiesz bezwątpienia, że twój pan w liście pisanym do porucznika, wspomina o moich trzpiotostwach, wystawia jako balamuta, zwodziciela, zgola człowieka ze wszech miar niebezpiecznego. Niechce mię nigdy widzieć w swoim domu, gdyż to powiada, mogłoby się stać zakatą dla jego siostrzenicy. Przypadkiem ten list dostał się w ręce moich oficerów. domyślasz się, że mi go oddano. Może pan Pocziwski żartem napisał, cóżkolwiek bądź, moja miłość własna jest obrażona. Dowiaduję się, że Sławnicki

dziś tu ma przyjechać, i że w tym domu nikt go nie zna prawie. Udaję więc jakobym o niczem nie wiedział, Porucznika wysyłam o kilka mil w mniej ważnym pułkowym interesie, sam, pod Sławnickiego nazwiskiem, przybywam tu zająć serduszko siostrzenicy, oszukać przezorność kochanka i ubawić się z lęklivego wujaszka, którego żarty nie wiele może zboczyły od prawdy. Otoż masz plan zupełny moich zamiarów.

J Ó Z E F.

Po tych wzniosłych pomysłach, choćbym nie chciał, muszę poznać mego dawnego pana. Mamy przecież awanturkę. Dalibóg gdyby nie ten wypadek, byłbym tu nie długo umarł z nudów.

Z A L O T N I C K I.

Czy dawno służyysz u Poczciewskiego, powiedz mi co to za człowiek?

J Ó Z E F.

Najlepszy w świecie. Najulubieńszem jego zatrudnieniem jest: żenić ludzi. W całej wsi ledwiebyś pan ze trzy dziewczęta naliczył, i to po lat trzynaście dopiero mające. Kraj będzie mu winien wielu obrońców... on sam nawet, chociaż już nie młody.... a jednak....

Z A Ł O T N I C K I.

A jego siostrzenica?

J Ó Z E F.

Piękna, grzeczna, słodka, miła, ujmująca; słowem najlepsza kobieta. Ma ona nad swoim wujaszkiem taką władzę; jak młoda żona nad starym mężem. Choć się stary rozgniewa, ona go uściśnie, przymili się, i znowu zgoda. Pewny jestem, że on ją zaraz panu za żonę ofiarować będzie, lecz i o tem także nie wątpię, że ta ładna siostrzenica, zrećźnie, z największą przyjemnością wymówi się od tego. Teraz chciej mi pan powiedzieć, co mam czynić ażeby mu dopomódz w jego przedsięwzięciu.

Z A Ł O T N I C K I.

Milczćć.

J Ó Z E F.

Milczćć? Ja milczćć? A niech Bóg broni. Przecięż mię będą pytać, musiałbym więc kłamać, a prawdę mówiąc, zdaje mi się: że od czasu kiedym pana opuścił, poprawiłem się bardzo. Tak, niech mi pan wierzy, czuję się teraz poczciwszym człowiekiem.

Z A Ł O T N I C K I.

Czy być może? ty łotrze miałbyś zostać poczciwym człowiekiem.

J Ó Z E F.

Tak tak panie, znacznie już na poczeiwego człowieka zakrawałem, ale przybycie pana tak pomieszało moje szyki, że zaczynam się lękać, abym na jedno jego słowo nie powrócił na dawną drogę.

Z A L O T N I C K I.

Rozumiem.

J Ó Z E F.

Nie wyszło zapewne z pańskiej pamięci, jak ja niegdyś gracko się sprawilem w tej delikatnej awanturce, z tym zazdrosnym mężem... co to przez okno... e, pan wie., bo co ja, nigdy nie zapomnę pana postępku.

Z A L O T N I C K I.

Chwalebny postępek? niepomnę.

J Ó Z E F.

Prawda że nie mało wycierpiałem, ale też byłem sownie wynagrodzony. Zawolałeś mię pan do siebie, i rzucając sakiewkę z 15 dukatami, rzekłeś pan głosem najmilszym: „ Weź łotrze, weź, to dla ciebie ”

Z A L O T N I C K I.

Nie, nie przypominam sobie, łotrem mogłem cię nazwać, ale dać 15cie [dukatów, byłoby za wiele.

J Ó Z E F.

Ale dalibóg panie tak było, tak! Czy mię pan bierzesz za takiego kłamcę, ażebym się fałsz wpierać ośmielił?

Z A L O T N I C K I.

Mniejsza o to; ponieważ w tak sprzyjającym dla siebie przypadku przypomniałeś mi tę kwotę. przyrzekam ci podobną, lecz....

J Ó Z E F.

Ale ja przypominam sobie także, że pan często zapominał o daném słowie.

Z A L O T N I C K I

Co?.. ktoś nadchodzi.

J Ó Z E F.

Mój pan. (n. s.) Jak ptak pod siecią usiędzie będę umiał za sznur pociągnąć.

SCENA VII.

POCZCIWSKI, ZALOTNICKI.

P O C Z C I W S K I.

Ah, daruj mi kochany przyjacielu, że musiałeś tak długo na mnie czekać, ale bo ja z moją siostrzenicą wyglądaliśmy cię przy wielkiej drodze.

Z A L O T N I C K I.

Przejęty jestem ich dobrocią.

P O C Z C I W S K I.

Kochany Sławnicki... jakże się cieszę, że syna mojego starego przyjaciela mogę widzieć i uściskać. (*ściska go*)

Z A L O T N I C K I.

Gdzież jest piękna siostrzenica pana dobrodzieja, chciałbym jęj złożyć moje uszanowanie?

P O C Z C I W S K I.

Oh! oh! jak się to swój do swojego ciśnie, pocziwy mój Sławnicki, przyjdzie, przyjdzie zaraz... poszła się trochę przypstrzyć, jak kobieta, wiesz dobrze.. (*n: s.*) Będzie wyborna para... (*głośno*) Kiedy przypomnę sobie, że cię tak małego widziałem.., pędraczek.. ledwo przy ziemi znać było.. a już się kijkiem musztrował... Ale, ale, jakże się też ma twój ojciec?

Z A L O T N I C K I.

Mój ojciec... zdrow, zdrow zupełnie. (*n. s.*) Dawno umarł.

P O C Z C I W S K I.

Dalipan, im więcej ci się przypatruję, tym więcej wtobie znajduję do niego podobieństwa. Ten sam ogień w oczach, ta postać zwinna...

Z A Ł O T N I C A I.

Może być.. wszyscy mówią, że jestem bardzo podobny do mojego ojca.

P O C Z C I W S K I.

Kochany chłopiec.. chcę cię przekonać o mojem przywiązaniu do ciebie i do twojej szanownej rodziny...

Z A Ł O T N I C K I.

Wdzięczeń nieskończenie.

P O C Z C I W S K I.

Żadnych podziękowań... nie wiesz jeszcze co chcę uczynić dla ciebie. Nie domyślasz się?.. nie, nie?... Sądzisz może iż sama chęć widzenia się z tobą... Nie, mój przyjacielu, myślę cię ożenić, ożenić...

Z A Ł O T N I C K I.

Ożenić!

P O C Z C I W S K I.

Nie znasz jeszcze mojej siostrzenicy. Najlepsze stworzenie na ziemi. Młoda wdowa, tyś kawaler, ona przyjemna, a ty zuch, ona umiejąca się podobać, ty gładysz... więc w imię Boże pożenię was i to dziś jeszcze.

Z A Ł O T N I C K I. (n. s.)

A do diabła! (głośno) Ale moi dobro. w mojem położeniu nie mogę...

P O C Z C I W S K I.

No, no, wiem co chcesz mówić, trwoży cię -
szczypliwy majątek. Ale uspokój się, postępuj
tylko w zasługach, a polepszenie majątku ja
na siebie biorę.

Z A L O T N I C K I.

Jako? wpan dobr. chciałbyś...

P O C Z C I W S K I.

Tak, tak mój przyjacielu, z ręką Malwiny
daję ci połowę mojego majątku; wiesz, że
jestem bezdzielny, wam tedy loszapewnię, bo
podług mnie to najmilsze chwile kiedy się
komu coś dobrego wyświadczy. Odtąd uwa-
żaj się, za właściciela tego domu i przyległej
wioski...

Z A L O T N I C K I.

Ale ja nie mógłbym znieść żebyś się pan
dobr. dla mnie pozbawiał majątku.

P O C Z C I W S K I.

Szczególny człowiek, myśli o żonie, a nie
pyta o posag.. Ale na cóż mi majątek?.. ja się
niczego nie pozbawiam, bo wpośród waszyć
będę.. cieszyć się waszemi szczęściami.. ah ja-
kież bogactwa z temi mogą iść w porówna-
nie!...

Tom XI.

7

ZALOTNICKI. (n. s.)

Zacny człowiek, w istocie żaluję mojego przedsięwzięcia.

POCZCIWSKI.

O jedną cię tylko rzecz mam prosić, gdy już będziesz panem tego domu...

ZALOTNICKI.

Ale jeszcze nim nie jestem.

POCZCIWSKI.

Będiesz, będziesz niezadługó. Oto żebyś nie kazał ścinać téj lipy w pośrodku dziedzińca, bo to ja własnymi rękami jeszcze w dzieciństwie ją zasadziłem.

ZALOTNICKI.

Przyrzekam panu że jej się nawet tknąć nie ośmielę.

POCZCIWSKI.

Kiedy tak, drogi mój Sławnicki, rzecz skończona. Zsiostrzenicą łatwo pójdzie, tak mi się zdaje. Jak wszystkie kobiety i ona z początku pogrymasi cokolwiek, zawsze je prosić trzeba. Ale ty nie zważaj na to, pewny jestem że ją ten wąsik pokona. Ona zezwala, ja was błogosławię, Notarjusz pisze intercyzę, zjeżdżają się sąsiedzi, kapłan was łączy, muzyka brzmi, wesele się

zaczyna, wiwaty za wiwatami, a stary wujaszek puściwszy się poloneza w pierwszą parę, przypomni sobie ową radosną chwilę, kiedy to ze ś. p. Wiktorją... zdaje mi się, że to już wszystko widzę... pójdź, pójdź, niech cię uściskam, kochany siostrzeńcze. (*ściska go*)

Z A L O T N I C K I.

Ah najlepszy wuju!

SCENA VIII.

CIŻ i MALWINA.

MALWINA. (*usłyszawszy ostatnie wyrazy
i widząc ich ściskających się*)

Jak uważam, już za mężem jestem.

P O C Z C I W S K I.

Ah moja pociecho, w sam czas nadchodzisz.

Z A L O T N I C K I.

Racz pani przyjąć wyznanie....

M A L W I N A.

Tak prędko? mogłażem już na nie zasłużyć?

P O C Z C I W S K I. (*do Malwiny*)

Jakże ci się zdaje... he? cóż... ten wąsik?...
dalibóg aż serce rośnie... nie prawdaż?

M A L W I N A.

Mój wuju... to pytanie....

Z A L O T N I C K I.

Dalibóg ładna!

POCZCIWSKI. (*do Zalotnickiego*)

No starajże się jej przypodobać...

M A L W I N A.

Jak widzę, już wszystko ułożone.

P O C Z C I W S K I.

No, dalej, każdy do swojego!... Przebacz mój Sławnicki, że cię opuszczam na chwilę; zatrudnienia domowe wzywają mię do siebie; (*n. s.*) dalej, dalej.

M A L W I N A.

Mój wuju.. i ja....

P O C Z C I W S K I.

Rozgość się tu podług woli. Mam nadzieję że nie tak prędko się oddalisz.

M A L W I N A.

Może pan nie otrzymał pozwolenia od pułkownika, aby mógł bawić tak długo!

Z A L O T N I C K I.

I owszem pani, mam pozwolenie; ja z pułkownikiem żyję w najściślejszej przyjaźni, i upewniam, że jakkolwiek bądź sobie postąpię, pułkownik na wszystko się zgodzi.

P O C Z C I W S K I.

Czy tak? jesteś w ściślejszej przyjaźni z pułkownikiem? do bięsa! to źle!.. nie wiedzia-

łem o tém, może się tedy obraziłeś, żem twojego przyjaciela nie najlepiej opisał przed tobą. Ale ja pisałem co mi ludzie o nim mówili. Jednak proszę nic mu nie wspominać, bo pewny jestem, że gdyby ten list jakim przypadkiem dostał się temu trzpiotowi w ręce, nie darowałby mi tego.

Z A L O T N I C K I.

Byćby mogło.

M A L W I N A.

Mój wuju, sądzę że cię oszukano. Pułkownik Zalotnicki może być trzpiotem, lekko-myślnym, zwyczajnie jak wszyscy młodzi, a szczególnie wojskowi, ale pewną niemal jestem, że nigdy nie wykracza z granic przyzwoitości. Cóż Pan o nim mówisz?

Z A L O T N I C K I.

Zdanie moje o nim, może Pani uważać będziesz za głos przyjaźni, lecz mówię szczerze: że lubo jest pustakiem, lubiącym ustawne psoty, sprawcą tysięcy fochów starych ciotek, złorzeczeń zazdrosnych mężów, zmartwień zawistnych opiekunów, zawsze jednak godnym jest szacunku takich osób, iak ty Pani.

M A L W I N A.

Po tej jego mowie poznaję, że Pan jesteś szczerym pułkownika przyjacielem.

P O C Z C I W S K I.

Dosyć tego, dosyć... niech tam sobie pułkownik będzie, wietrznikiem lub nie, stałym lub niestałym, dosyć że go nie lubię i poznać nie życzę. Nie ganię ja bynajmniej lekkomyślności w młodych, ach broń Boże!.. wolę otwartą wesołość, niż cbytrość skromniutką.. ale ta niepowinna nigdy przechochodźić swego zakresu; a on musiał go przestąpić, bo zbyt wiele o nim mówią.

Z A L O T N I C K I.

Ależ należałoby przekonać się... możnaż wierzyć wszystkiemu co ludzie rozsiewają..

POCZCIWSKI *(do Zalotnickiego)*

Przestań mówić o pułkowniku, a myśl o sobie... wyjeżdżasz tak z jego pochwałami jak żebyś chciał nim zawrócić giowę Malwinie. Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. *(głośno)* Do widzenia... moje dzieci, powrócę za chwilę.

M A L W I N A.

Mój Wuju, mamże sama...

POCZCIWSKI.

Wiem że się o to nie gniewasz. *(do pułkownika)* Nie zawieźdź mojej nadziei, staraj się ująć dla siebie.

ZALOTNICKI.

Wszystkich starań dołożę.

POCZCIWSKI. *(do Malwiny)*

A ty Malwino pamiętaj, że to jest syn mojego dawnego przyjaciela, i że godzien wszystkich twoich względów. *(n. s.)* Idzie dobrze... pokochają się w sobie, już to z ich oczu poznaję. Oh, co za radość, wesele, wesele!.. *(odchodzi)*

SCENA IX.

MALWINA, ZALOTNICKI.

ZALOTNICKI.

Nie wiem jak zdołam zawdzięczyć wujowi pani tę łaskę, że mi pozwolił kilkochwilowej z nią rozmowy.

MALWINA.

Więcej jeszcze; uczynione przyrzeczenie.

ZALOTNICKI.

Czémże ono jest bez twojego wyroku pani.

MALWINA.

Nie uwierzysz pan, ile mi sprawia nieprzyjemności, ta, może w istocie zbawienna, ale

dla mnie nieznośna, chęć mojego wuja, wydawania mię za każdego przybywającego.

Z A L O T N I C K I.

Czy podobna?

M A L W I N A.

Tak, tak. Pewna jestem, że i panu już moją rękę ofiarowano, że cię zapewniono o mojem sercu, o mojej powolności? Kochany wuj przyrzekł bez wątpienia dziś jeszcze zająć się weselem, sam nawet już z panią młodą zawiódł koło poloneza, ha, ha, ha.

Z A L O T N I C K I.

Pani...

M A L W I N A.

Lecz spodziewam się, że pan zwrócisz na to swoją baczość, iż lubo mój wuj przyrzeka każdemu moje serce, zawsze ja tylko jestem jego panią, i sama je ofiarować mogę. Że to serce co tylu ubiegań było celem, jest dotychczas wolnem; inie ma wtém nic zadziwiającego, rzadko bowiem przedmiot narzucany miłość wzniecić może; z tej więc przyczyny każdy wprowadzony przez mojego wuja, powinien mniejszą nad innych cieszyć się nadzieją.

Z A L O T N I C K I.

Ta surowość pani zdumiewa mię. Nie sądziłem ażeby w tym kwiecie wieku, przy tylu powabach ciała, tylu wdziękach...

M A Ł W I N A.

Otóż ta sama piosnka którą już na pamięć umiem. Teraz nastąpi użalanie się na moje okrucieństwo, nieczułość; potem, zaczniesz pan przedstawiać mi, roskosze małżeństwa, słodycz pożycia, węzeł pięknym zdobny kwieciami, błogie chwile szczęścia i tym podobne uroczne zmyślenia. Ale daremna praca, zawsze jedne i teź same słysząc prośby, widząc ciągle miłe obrazy, już nasyciłam się niemi... Prócz tego, wiem dobrze co jest małżeństwo, zwłaszcza takie które posłuszeństwem a nie miłością się skojarzyło. Wkrótce te piękne widoki, jakby czarodziejską mocą w posępną przyodziewają się barwą, rokosz zamienia się w smutek, słodycz znika, kwiaty zdobiące węzeł ciernie tylko ukazują, szczęście ubiega tak prędko, że ledwo wspomnienie po sobie zostawia. Taki obraz małżeństwa należałoby

przedstawić osobie, którą do związku nakłonić chcemy, a wtenczas jeźliby zawarłszy go przeciwnych doznała wrażeń, życie jej najszczęśliwszém nazwać by się mogło.

Z A L O T N I C K I.

Prawdziwie zdania pani nie można nazwać niesprawiedliwém, mówisz bowiem z doświadczenia... jednakże zupełnej nie odbierasz mi nadziei...

M A L W I N A.

Ah dla Boga! nie przypuszczaj pan tej myśli. Wkorzeniona mogłaby się stać przyczyną rozpacz. Nie wspominaj nawet o nadziei. Dla wszystkich zarówno wielbicieli, przez wuja mojego zalecanych, czuję wstręt nie złomny, dla tego, może pomimo najszczerzych chęci nie mogę sprzyjać panu; gdy tymczasem, poznaj całą nieżyczliwość twojego losu, czyli raczej całą sprzeczność wrodzoną sercom kobiet: ten pułkownik, któremu wszyscy zarzucają lekkomyślność, którego mój wuj tak się wystrzega, ten pułkownik, mówię otwarcie, już odnosi nad panem pierwszeństwo.

Z A L O T N I C K I.

Czy być może! Miałżeby on być tyle szczęśliwym?

M A L W I N A.

Tak w istocie, dla tego jedynie, że mi jest wzbronionym przez wuja.

Z A L O T N I C K I.

O gdyby on był wiedział o swoim szczęściu, albo gdybym ja był na jego miejscu jakichżebym nie użył sposobów ażeby panią widzieć pomimo zakazów pana Poczciwskiego. Pewny jestem, że wszelki rodzaj podejścia, na przykład przebranie, byłby mu przebaczo-
nym.

M A L W I N A.

Zgadłeś pan. Przebranie nosiłoby na sobie cechę niezwykłą; a trzeba panu wiedzieć że ja przy moich błędach mam jeszcze i głowę romansową. Co za przyjemny widok miłości wynajdującej tysiące podstępów! Wyobraź pan sobie, zręczny kochanek jest przy mnie, przybywa nowy zalotnik, pierwszylęka się wydać, drugi niechciałby mieć obecnych swoim oświadczeniom. Ten się ukrywa, ów unika starannie obecnych, rozmowa

prowadzi się na migi, spogląda się ukradkiem. Zcicha lekkie wyda się westchnienie, ale jak ona przemawia do duszy. Słowem to połączenie podejść, obawy, miłości, najmiłszy widok przedstawia. Dołączyć do tego trafiający się często ostry dowcip, który umie korzystać prędko z okoliczności, a utworzy się przewyborna scena, stokroć więcej mająca ponęty, niżeli te nudne, przewlekłe i ciągle prawie jedne oświadczenia.

ZALOTNICKI. (*prędko*)

Ah czemuż ja nie mogę być tym głównym...

M A L W I N A.

Jak uważam i panu romansowość się podoba.

ZALOTNICKI. (*klękając*)

Ah tak, u nóg twoich pani wyznaję, że...

SCENA X.

MALWINA, POCZCIWSKI, ZALOTNICKI.

POCZCIWSKI. (*w głębi*)

Wybornie! Już na kolanach.

Z A L O T N I C K I.

Wiem że się pani gniewać będziesz....

M A L W I N A.

Będę się gniewała jeżeli pan nie odmieńsz tej postawy.

POCZCIWSKI. (*głośno*)

Wyśmienicie, wyśmienicie! (*do Malwiny*)
No już też teraz pewny jestem, że moje przed-
sięwzięcia dojdą do celu.

M A L W I N A.

Kochany wuju, chciój zapytać pana dla
czego klęczał, a może powiesz przeciwnie.

Z A L O T N I C K I.

Klęzcć u nóg piękności, jest największą
przyjemnością, i ja dotychczas na mój los
nie narzekam.

P O C Z C I W S K I.

A więc rzecz skończona, nie ma o czém my-
śleć.

M A L W I N A.

Jak widzę, pan umiesz uważać rzeczy z do-
brej strony, przyrzekam mu tedy, że w tym
sposobie co dziś, zawsze mojemu wujowi będę
posłuszną.

ZALOTNICKI. (*n. s.*)

Szczególniejsza kobieta! ale nie traćmy od-
wagi.

P O C Z C I W S K I.

A zatem wesele tuż.

SCENA XI.

CIŻ i JÓZEF.

JÓZEF.

Jakiś oficer z tego pułku co i pan, prosi o pozwolenie wejścia.

MALWINA.

Czy znów jaki pretendent?

POCZCIWSKI. *(do Zalotnickiego)*

Może ty kechany Sławnicki zaprosiłeś którego z koleżków?

ZALOTNICKI.

Bynajmniej, nie wspominałem nawet nikomu.

POCZCIWSKI.

Czy nie powiedział, jak się nazywa?

JÓZEF.

I owszem, mówił że się zowie Sławnicki.

ZALOTNICKI. *(n. s.)*

Masz tobie!...

POCZCIWSKI.

Sławnicki?

MALWINA.

Czy panów jest dwóch poruczników jednego nazwisko... lecz z kądże to pomieszanie?..

ZALOTNICKI. *(n. s.)*

A do kogo, jak się tu wywikłać. *(głośno)*
Szczególny wypadek... zadziwienie...

M A L W I N A.

Niechże się ten jegomość zatrzyma, póki nie rozpoznamy rzeczy.

J Ó Z E F.

Dobrze, pójdę mu powiem.

P O C Z C I W S K I.

Nie, zostań! jesteś mi potrzebnym. Hola! jest tam kto? (*do wchodzącego lokaja*) Prosić tego oficera, co przyjechał, aby się raczył chwilkę zatrzymać. Nie pojmuję tego zdarzenia. Ale powiedz mi mój Sławnicki, czy przypadkiem twój pułkownik nie dowiedział się o mojem wezwaniu?

Z A L O T N I C K I.

Być może; między kolegami trudno co uitać.

P O C Z C I W S K I.

On jest młody, śmiały...

Z A L O T N I C K I.

Gotów na wszystko, gdy idzie o zobaczenie pięknej kobiety.

J Ó Z E F.

To bardzo do niego podobne.

P O C Z C I W S K I.

Zaczynam się już lękać, czy to w istocie nie będzie ten sam szpaczek. Przecież go widziałeś Józefie, poznałbyś go natychmiast, wszak iniezbyt dawno służyłeś u niego!

JÓZEF. (*pomieszany*)

Ja panie? Oh gdzie tam, to już tak dawno,
a potem ja mam krótką pamięć....

ZALOTNICKI. (*do Józefa*)

Zmiłuj się, wywikłaj mię z tego zamieszania.

JÓZEF. (*cicho*)

Δ 15 dukatów będzie?

ZALOTNICKI. (*cicho*)

Masz moje słowo.

P O C Z C I W S K I.

Wiem żeś hulał, zapłacono ci żebyś milczał.

J Ó Z E F.

Dalibóg panie dobrodzieju, że mi ani groźna nie dano; panowie wojskowi nie tak hojnie sypią pieniędzmi. (*spoglądając na Zalotnickiego*) Prawda, że mi obiecano....

P O C Z C I W S K I.

Obiecano ci?.. Wyjaw mi wszystko, albo precz z mojego domu... rozumiesz?..

J Ó Z E F.

Rozumiem. Pan tak dobitnie i jaśnie mówi, że człowiek od razu pojmie.

P O C Z C I W S K I.

Mów więc? Jest pułkownik?

J Ó Z E F.

Jest panie dobrodzieju.

M A L W I N A.

Przedziwnie! Tego się właśnie spodziewa-
łam!

J Ó Z E F.

Jak tylko wjechał na dziedziniec, poznałem
go natychmiast. Zsiadł z konia i kazał się za-
meldować pod nazwiskiem porucznika Siawni-
ckiego.

ZALOTNICKI. (*n. s.*)

Co ten hultaj gada; zgubi mnie.

P O C Z C I W S K I.

No i cóż dalej?

J Ó Z E F.

Potém wchodzi do pokoju, poznał mię. Wi-
dzą jego pomieszanie.

ZALOTNICKI. (*daje znaki Józefowi*)

J Ó Z E F.

Daje mi rozmaite znaki, obawiając się ahym
go nie wydał.

P O C Z C I W S K I.

Co? on ci dawał znaki! ah nie dobrego, tak
mię chcieć podejść!

J Ó Z E F.

Ale ja udaję że ich nie uważam.

ZALOTNICKI. (*niecierpliwi się*)

J Ó Z E F.

On się niecierpliwi.

M A L W I N A.

Wierzę temu; wierzę; zapewne musiały się znajdować osoby, które w tej chwili były mu natrętnymi.

J Ó Z E F.

Tak, w istocie, były dwie osoby, których obecność bardzo mu była na przeszkodzie.

ZALOTNICKI. (*cicho do Józefa*)

Jeśli się uda mój podstęp, przyrzeczone piętnaście dukatów masz w kieszeni.

P O C Z C I W S K I.

Kończże, kończ.

J Ó Z E F.

Mniema, że obecne osoby nie spostrzegą; przybliża się więc do mnie z cicha, ostrożnie....

P O C Z C I W S K I.

No, no, no, widzę go...

J Ó Z E F.

Co, co pan widzisz?

P O C Z C I W S K I.

Nic. Ale tak niby, jakbym go widział.

J Ó Z E F.

Zbliża się więc do mnie na palcach i mówi

mi do ucha: »Jeżeli się uda mój podstęp, piętnaście dukatów masz wkieszeni.«.

P O C Z C I W S K I

Piętnaście dukatów.

M A L W I N A.

Ta hojność podoba mi się.

J Ó Z E F.

Ale zwolna pani, zwolna... jeszcze ich nie mam; proszę uważać jak dalej postąpiłem. Głuchy na czeze słowa, udaję żem nie dosłyszał. On baczny na każdy mój postępek, rozumiał to i sięga do kieszeni. (*spogląda na Zalotnickiego, który sobie mundur poprawia*) Nie, jeszcze nie sięga. Tu już mi brakuje cierpliwości, oświadczam mu zatem zrećźnie i to w obecności osób, o których państwu już nadmienilem: że jeżeli natychmiast przyrzeczenie jego w skutek się nie zamieni, odkryję całą tajemnicę, a w przeciwnym przypadku jak najzrećzniej go wywiklam.

ZALOTNICKI. (*n. s.*)

Oszust! jak przebiegły!

P O C Z C I W S K I.

Skończysz ty dzisiaj twoje opowiadanie?

M A L W I N A.

Na co tyle przydatków niepotrzebnych?

J Ó Z E F.

Owszem pani, przydatki są bardzo potrzebne, bo za niemi idą datki. *(zatrzymuje się za każdym słowem i spogląda na Zalotnickiego)* Po tych słowach wyraźnie rzecz poznać dających, przebrany kochałek, przekonany o mojej władzy, widzi swoje niebezpieczeństwo, i zapewne rad nie rad wyciąga sakiewkę. *(Zalotnicki wyciąga sakiewkę i czyni to o czém Józef następnie mówi)*

M A L W I N A.

I tobie ją daje.

J Ó Z E F.

Nie jeszcze, a to z przyczyny tych dwóch osób, które mu są na przeszkodzie, ogląda się wprzód na wszystkie strony, czy kto nie patrzy, potem dopiero przybliża się i ciągnie mnie za frak. Ja rozumiejąc co to znaczy, zgrabnie i skrycie wysuwam rękę po za siebie, chwytam worek niepostrzeżony od nikogo, i qto ten właśnie mam honor państwu okazać, *(ciągle obrócony do Pocziwskiego zdaje się opowiadać, co było między nim a pułkownikiem, a gdy mówi: wysuwam rękę, wciąga ją w istocie za siebie, chwytając worek podany przez pułkownika i ten okazuje)*

M A L W I N A.

Przecież, myślałam, że nie skończysz dzisiaj.

J Ó Z E F.

Skończyłem pani, i oto przestanek z piętnastu punktami. Upewniam, że co powiedziałem jest najistotniejszą prawdą. (*zwróciwszy się trochę do publiczności*) na co nawet świadków mógłbym przedstawić.

P O C Z C I W S K I.

Nic niepodobnego.

J Ó Z E F.

Spodziewam się, że szczerosc moja zasługiwałaby...

P O C Z C I W S K I.

Dobrze, dobrze, potem o tém.. Na honor nie mogę wyjść z podziwienia, za wielką śmiałość pułkownika.

M A L W I N A.

Ta właśnie bardzo mi się podoba.

P O C Z C I W S K I.

Odejdź moja Malwino, muszę pomyśleć nad środkiem jakiego użyć wypadu... -

Z A Ł O T N I C K I.

Jest tylko jeden, który sama roztropność podaje... nie widzieć się z pułkownikiem.

P O C Z C I W S K I.

Sprawiedliwie mówisz... Nie będę się z nim widział.

M A L W I N A.

A ja, jestem zupełnie przeciwnego zdania, możeżto być, ażebyś ty kochany wuju tak zaszczytnie znany z swojej gościnności, osobę znakomitą przyjął tak niegrzecznie? I owszem, kaź go prosić, udaj, że go nie poznajesz, a mnie pozwól oddać mu wet za wet za to podéjście.

P O C Z C I W S K I.

Dobrze radzisz Malwino, będę się z nim widział.

Z A L O T N I C K I.

Przestrzegam, że to rzecz niebezpieczna...

M A L W I N A.

Pan zawsze swoją utrzymuje stronę. (*do wuja*) Zresztą czyj pan dobrodziej jak mu się podoba, oddalam się, ale razem uprzedzam, iż wszystkich użyję środków, aby choć na chwilę widzieć pułkownika, który dla tego już mi jest przyjemnym, że was tu wszystkich takiego nabawił kłopotu. (*odchodzi*)

S C E N A XII.

JÓZEF, POCZCIWSKI, ZAŁOTNICKI.

Z A Ł O T N I C K I.

Ah zmiłuj się pan dobrodziej staraj się przeszkodzić temu zamysłowi twojej siostrzenicy, bo spełzną wszystkie nasze układy.

P O C Z C I W S K I.

Jakto?

Z A Ł O T N I C K I.

Każ mu pan oświadczyć przez Józefa, żeś słaby, że go nie możesz dziś przyjąć.. niech wynajdzie jaką przyczynę.

J Ó Z E F.

Niech mi pan tylko da pełnomocnictwo, zaręczam, że za parę minut już go tu nie będzie.

P O C Z C I W S K I.

Dobrze, ależ te pieniądze co wzięłeś.

J Ó Z E F.

Bądź pan spokojny! (*patrzac na pułkownika*) dał mi je z tak dobrego serca.

P O C Z C I W S K I.

Jest to rzecz tak zawikłana, tak potrzebująca namysłu. Bo zważcie, pułkownik, a do tego grzeczność, gościnność, a nadewszystko ja który tak kocham wszystkich wojskowych

(do Zalotnickiego) Gdybyś pan chciał się z nim zobaczyć, gdybyś mu przełożył...

J Ó Z E F.

Oh broń Boże. Cbyba chcesz pan wystawić na nieszczęście pana Sławnickiego. Owszem, przeciwnie, niech unika jego spotkania. (do Zalotnickiego) Idź pan użyć świeżego powietrza w ogrodzie potem...

P O C Z C I W S K I.

W istocie, dobrze mówi, przejdź się po ogrodzie, my tymczasem z Józefem naradzimy się...

Z A L O T N I C K I.

Odchodzę. (odchodząc do Józefa) Pamiętaj zasłużyć na to, coś odebrał.

J Ó Z E F. (do siebie)

Musiałem już zasłużyć, kiedy mam worek w kieszeni.

SCENA XIII.

JÓZEF, POCZCIWSKI.

POCZCIWSKI. (po chwili namysłu)

Tak.. dobrze, moje postanowienie niezmiennne. Józefie, idź powiedz temu panu...

J Ó Z E F.

Żeby siadał na konia i wracał z panem Bogiem.

P O C Z C I W S K I.

Nie, niech tu wejdzie; rozmówię się z nim.

JÓZEF. (*n. s.*)

Hm, do licha, to źle. (*głośno*) Co pan chcesz mówić z tym człowiekiem? Znam go aż nadto, to jest awanturnik, lubiący kłótnie, pan, słusznie urażony, możesz mu mimochętnie przymówić, on zbyt drażliwy, na przymówkę odpowie niegrzecznie. Pan równie jak każdy, w podobnym zdarzeniu, możesz się rozgniewać, on toż samo, słówko za słówkiem, narobi się hałasu, pan Sławnicki przybiegnie, i jako krewny ujmie się za panem dobrodziejem. Ztąd między niemi przyjdzie powtórnie do zwady, a z tej do pojedynku. Pułkownik wydoskonalony w tego rodzaju wypadkach, niechybnie zabije pana porucznika, pan dobr. będziesz musiał zająć się pogrzebem, a tymczasem on przez różne wybiegi, intrygi, nareszcie posiadając tak doskonale sztukę podobania się kobietom, wkradnie się w serduszko pani, a nie mogąc otrzymać przebaczenia obrażonego wuja, uwiezie potajemnie...

POCZCJWSKJ. (wgniewie)

Co, uwiezie moją siostrzenicę? A do kroćset szatanów ja mu uszy wprzódy poobcinam. Héj mospanie, pokażę mu że i ja kiedyś umiałem robić kordem. (*łagodniej*) Nie mówię żeby prosił o jej rękę, możebym się dał nakłonić..

J Ó Z E F.

Co o jej rękę, czy to rzecz podobna, czy zdarzyło się kiedy od początku świata, aby który bałamut, a jeszcze bałamut w 28 roku ożenił się. On ją uwiezie ręczę panu,... ale nie..

P O C Z C I W S K I.

Czy mię licho skarąło tym człowiekiem! powiedz że mi, cobys ty uczynił w tym przypadku?

J Ó Z E F.

Pulkownik przy tylolicznych wadach, ma jednak dobre serce, przytém tak jest uprzedzony o mojej poczciwości, tyle mam przewagi nad jego umysłem, że gdy mu powiem ze łzami w oczach: panie, dla czego przychodzisz mieszać spokojność najlepszego z ludzi, najgodniejszego z panów, najmoralniej-

szego opiekuna panien i kawalerów?.. roztkliwi się, siądzie na koń i porzuci te miejsca..

P O C Z C I W S K I.

Ah mój Józefie, weź tę małą nagrodę za twoje przywiązanie do naszego domu.

JÓZEF. (*biorąc*)

Krzywdziłbyś mię pan, mniemając że ja dla interessu...

P O C Z C I W S K I.

No, no, weź, nic nie szkodzi.

SCENA XIV.

SŁAWNICKI, JÓZEF, POCZCIWSKI.

SŁAWNICKI. (*za kulisami*)

Nie, już nie mogę czekać dłużej, muszę pomówić z panem Poczciwskim.

J Ó Z E F.

Otóż i on, poznaje głos jego. Oddal się pan, a daję moje słowo, że za dziesięć minut wszystko załatwię podług woli pańskiej.

P O C Z C I W S K I.

Zdaję się zupełnie na ciebie (*odchodzi.*)

SCENA XV.

JÓZEF. (*sam*)

Ha, ha, ha, otóż to co rozum może. Śmiało Józefie. Zapłacił mi pułkownik za to

żebym mu pomagał, pan Poczciwski za to, że
go odrwił porządnie, więc z kolei i porucznik
za odprawę zapłacić musi.

SCENA XVI.

JÓZEF, SŁAWNICKI.

SŁAWNICKI. (*wchodząc*)

Podobne przyjęcie w domu, do którego
mnie wezwano, jest szczególném— od godzi-
ny czekam w przedpokoju. (*do Józefa*) Czy
nie mógłbyś mi powiedzieć mój przyjacielu,
dla czego pan Poczciwski nie chce przyjąć
moich odwiedzin?

JÓZEF.

Musi mieć swoje przyczyny.

SŁAWNICKI.

Jako? zaprasza mię, abym kilka dni w do-
mu jego zabawił, przybywam, a on tak mię
przyjmuje. To nie do pojęcia! Wtém musi
być jakaś tajemnica.

JÓZEF.

Zgadłeś pan i bardzo wielka!

SŁAWNICKI.

Nie mógłżebyś mi jęj wyjawić?

JÓZEF.

Wyjawić?, żadnym sposobem, zabroniono

mi pod utratą służby. Chociaż ze szczerą chęcią radbym panu uczynić tę przysługę, ale jestem biedny chłopiec; nie zła służba i pocziwość, oto całe moje mienie, gdyby mię wypędzono, uważ pan dobrodziej co za los, jakieby o mnie miano mniemanie.

S Ł A W N I C K I.

Prawda, ale gdybym ci zabezpieczył utratę służby?

J Ó Z E F.

Lękałbym się jeszcze o moją pocziwość.

S Ł A W N I C K I.

O pocziwość? rozumiem... oto lekarstwo teraźniejszego wieku. (*wzucha mu pieniądze.*)

JÓZEF. (*wziąwszy*)

Najskuteczniejsze...ale gdybyś pan wiedział, jak trudno tak pocziwemu jak ja chłopcu...

S Ł A W N I C K I.

Dosyć już tego. Powiedz mi, zkad taka nagła zmiana nastąpiła po tak ujmującym liście?

J Ó Z E F.

Tu nie ma żadnej zmiany, utrzymują tylko że pan nie jesteś poręcznikiem Sławnickim.

S Ł A W N I C K I.

Co słyszę? Za kogoż mię więc uważają?

J Ó Z E F.

Za pułkownika Zalotnickiego, tego zbyt niebezpiecznego człowieka dla pięknych kobiet.

S Ł A W N I C K I.

Któż podał tę myśl?

J Ó Z E F.

Jakiś lokaj, który powiada, że kiedyś służył u pułkownika. Pan Pocziwski nie bardzo sprzyjając temu jegomości....

S Ł A W N I C K I.

Prawda, że w liście do mnie pisany, dość niegrzecznie wspomina o pułkowniku.

J Ó Z E F.

Otóż widzisz pan dobrodziej sam, z jakiej przyczyny nie są mu radzi.

S Ł A W N I C K I.

Ale ja ręczę, że to ułożony figiel. Ten lokaj musi być oszust.

J Ó Z E F.

Nie przeczę.

S Ł A W N I C K I.

Zapewne przekupiony.

J Ó Z E F.

Niewątpliwie. Od jakiego współzalotnika.

S Ł A W N I C K I.

Współzalotnika? Jakże go mieć mogę, kiedy nie znam ani pana Pocziwskiego, ani jego

siostrzenicy. Powiadają tylko, że Malwina ma być bardzo piękną.

J Ó Z E F.

Powiadają także, że jej wujaszek każdego swojego przyjaciela chce z nią połączyć.

S Ł A W N I C K I.

Słyszałem o tem.

J Ó Z E F.

Bezwątpienia pan Poczciwski na pana zwrócił swoje zamiary, a tymczasem jakiś pretendent....

S Ł A W N I C K I

Wsunął się na mojem miejscu.

J Ó Z E F.

Za pomocą tego przebiegłego filuta.

S Ł A W N I C K I.

Musiano mu dobrze zapłacić.

J Ó Z E F.

I ja tak sędzę, z piętnaście dukatów przynajmniej.

S Ł A W N I C K I.

I ten oszust śmie utrzymywać bezczelnie...

J Ó Z E F.

Że pan jesteś pólkownikiem.

S Ł A W N I C K I.

Pewnie się Poczciwski rozgniewał...

J Ó Z E F.

O i bardzo... kazał mi nawet oświadczyć
panu.....

S Ł A W N I C K I.

Abym odjechał natychmiast.

J Ó Z E F.

Zgadłeś pan... wypada zatem, sama nawet
konieczność zmusza...

S Ł A W N I C K I.

Zostać tu, pomimo wszelkich zakazów.

J Ó Z E F.

Jakto pan myślisz?...

S Ł A W N I C K I.

Odkryć prawdę, zawstydzić współzalnika
i ukarać oszusta.

JÓZEF. (*n. s.*)

A do djabła! to za wiele (*głośno*) Ale mój
pan bardzo prędko do gniewu.

S Ł A W N I C K I.

Muszę z nim mówić.

J Ó Z E F.

Czemże go pan przekonasz?

S Ł A W N I C K I.

Pokażę jego list.

J Ó Z E F.

Nie przyzna się do niego.

S Ł A W N I C K I.

Muszę go wywieść z błędu. Zobaczysz,

wkrótce rzeczy przybiorą inną postać. Poczciwski da się przekonać, a lokaj oszust przypłaci całe to zdarzenie.

JÓZEF. (*n. s.*)

Otóż masz, w. moim planie wcale o moich plecach wzmianki nie było, tylko o mojej kieszeni.—Jak na nieszczęście i pan nadchodzi.

SCENA XVII.

CIŻ I POCZCIWSKI.

POCZCIWSKI. (*n. s.*)

Jeszcze nie odjechał.

JÓZEF. (*do Poczciwskiego*)

Nieczuły na wszystkie najsilniejsze przedstawienia, na złość wszystkim chce zostać porucznikiem Sławnickim.

P O C Z C I W S K I.

Jakto? i koniecznie....

SŁAWNICKI. (*n. s.*)

Zapewne będzie pan Poczciwski.

J Ó Z E F.

Teraz czyn pan co mu się zdaje, ja nie poradzę. (*n. s.*) Zróbmy tak jak inni robią, kiedy zapłacona porzucimy sprawę.

SCENA XVIII.

SŁAWNICKI, POCZCIWSKI.

S Ł A W N I C K I.

Pozwól mi panu dobrodziej zapytać się, czy mam wierzyć temu, co mi ten człowiek powiedział?

P O C Z C I W S K I.

Tak, poznano pana.

S Ł A W N I C K I.

! Ale ja daję moje słowo, że się mylą.

P O C Z C I W S K I.

Wyznaj raczej mości pułkowniku, że zawiedziony w nadziei, jesteś w rozpacz.

S Ł A W N I C K I.

Pułkowniku! Upewniam, że nim nigdy nie byłem; dla czegoż mi nadawać tytuł, który, jakkolwiek zaszczytny, nie jest moim, i....

P O C Z C I W S K I.

I który mu w tej chwili najwięcej przeszkadza. O wierzę, wierzę temu. Ale czyż godzi się mścić za żart niewinny?

S Ł A W N I C K I.

Nie myślałem nawet o tém. Przybywam na pana listowne wezwanie, jako syn jednego z dawnych przyjaciół.

POCZCIWSKI. (*śmiejąc się*)

Syn jednego z moich przyjaciół?

S Ł A W N I C K I.

Sławnicki, podkomorzy....

P O C Z C I W S K I.

Powiedz raczej Żalotnicki...

S Ł A W N I C K I.

Mogę pana przekonać autentycznemi dowodami.

P O C Z C I W S K I.

Czegóż teraz niedostanie za pieniądze w tym przemysłnym wieku? znamy, znamy te autentyczne dowody....

S Ł A W N I C K I.

To nazdo. Spodziewam się, że pan przynajmniej wskażesz mi tego, który śmie utrzymywać, że jestem pułkownikiem.

P O C Z C I W S K I.

Który śmie.... wszyscy, którzy pana znają; a zresztą gdybym go chciał zawstydzić, każałbym tu poprosić...

S Ł A W N I C K I.

Dobrze, niech przyjdzie, a przekonasz się pan...

P O C Z C I W S K I.

Oto to właśnie, wiemy, wiemy co pan potrafisz, i coby z tego wynikło; nie, nie chcę ja żadnych kłótni w moim domu. Właśnie jak najstaranniej usuwać będę to spotkanie.

S Ł A W N I C K I.

Nie pojmuję...

P O C Z C I W S K I.

Jakim sposobem tak prędko mogliśmy się przygotować na jego przyjęcie?

S Ł A W N I C K I.

Łatwowierność za daleka posunięta.

P O C Z C I W S K I.

Uporczywość bez granic.

S Ł A W N I C K I.

Odjeżdżam tedy, ale z żalem, że pana zostawiam w takim błędzie.

P O C Z C I W S K I.

Nie ma czego żałować. Oto wyznaj raczej otwarcie, że jesteś pułkownikiem, że przyjechałeś pomścić się za kilka wyrazów uszczypliwych w liście pisanym do Sławnickiego a ja natychmiast się udobrucham, i na zgodę wypróżniemy kilka butelek starego Węgrzyna,

S Ł A W N I C K I.

Nigdy tego nie uczynię... człowiek honoru nawet dla żartu kłamstwem plamic się nie powinien. Żegnam pana, spodziewam się, że wkrótce poznasz prawdę. (odchodzi)

SCENA XIX.

POCZCIWSKI. (*sam.*)

Do kata!.. podobał, mi się jego stałość, nie-
ugiętość... znać zjakięj krwi pochodzi.. Przy-
tém w jego postaci jest coś tak ujmującego..
Gdyby szczerze kochał Malwinę.. gdyby pro-
sił o jej rękę.. Pułkownik, nie zła partja, na
honor, byłby związek dobrany.

SCENA XX.

POCZCIWSKI, JÓZEF.

JÓZEF.

Pan Zalotnicki wyszedł, jakże pan dobr:
z nim postąpiłeś?

POCZCIWSKI.

Natarłem mu porządnie uszu; niezgięty
w moim zamiarze, pokazałem, że ze mnie żar-
tować nie można.

JÓZEF.

I oadał się; bardzo dobrze, mogłyby ztąd
dla nas wyniknąć jakie nieprzyjemne skutki.

POCZCIWSKI.

Wdzięchen ci jestem za przestroagę..

JÓZEF.

O! panie dobr. gdyby mi był cały swój

majątek ofiarował... nigdybym nie zdradził
mojego pana..

P O C Z C I W S K I.

Ciesz się moje przywiązanie...

J Ó Z E F.

Sądził, że ja i teraz jestem takim nicdo-
brego jak niegdyś. Ale od czasu jak przyją-
łem służbę u pana odmieniłem się zupełnie,
(n. s.) bo nie miałem sposobności.

P O C Z C I W S K I.

Ah widzę to, widzę. I w nagrodę twoich
wiernych usług, myślę cię w tych dniach
ożenić.

JÓZEF. (n. s.)

A to kara nie nagroda. (głośno) Mnie oż-
nić? O najlaskawszy panie!

P O C Z C I W S K I.

Teraz spiesz do ogrodu, donieś porucznikowi:
że pułkownik już odjechał, i przypro-
wadź go tutaj. (Józef odchodzi)

SCENA XXI.

MALWINA, POCZCIWSEI.

MALWINA. (wbiegając)

Ah kochany wuju, nie wiesz...

POCZCIWSKI.

Cóż takiego?...

MALWINA.

[Ten oficer, o którym ci mówiłam...

POCZCIWSKI.

I cóż?

MALWINA.

Ten oficer jest tutaj.

POCZCIWSKI.

Co, tutaj?

MALWINA.

Tak jest. Ten nieznajomy, mający tyle prawa do mojej wdzięczności, jest pułkownik Zalotnicki.

POCZCIWSKI.

Czy być może?

MALWINA.

Spotkałam go wycbodzącego. Poznaliśmy się od razu.

SCENA XXII.

CIŻ I SŁAWNICKI.

SŁAWNICKI. (n. s.)

Ona jest tutaj, trzeba zezwolić na wszystko aby tylko tu zostać.

POCZCIWSKI.

Witam z powrotem! sądziłem że już daleko.

S Ł A W N I C K I.

Nie... uczynię zadosyć żądaniom pana, a ponieważ chcesz ażebym był pułkownikiem Żalotnickim, przeto oświadczam, że nim jestem.

P O C Z C I W S K I.

Aha, otóż tak trzeba było uczynić od razu. No, no, nie gniewam się wcale i na dowód przyjaźni przedstawiam moją siostrzenicę, którą pan już znasz bardzo dobrze, bo wiem wszystko, wiem.

S Ł A W N I C K I.

Ah pani.. co za szczęśliwe zdarzenie!

M A L W I N A.

Prawda, bardzo szczęśliwe; nastęcza mi sposobność złożenia panu podziękowania.

P O C Z C I W S K I.

Złożenia podziękowania, to nie wiele, ale wszystko się da ułożyć.

M A L W I N A.

Czy znowu?

Z A L O T N I C K I.

Shczęście dla niego, że dzisiaj przybył; bo za parę dni kto wie, czybyś pan nie widział już mojej siostrzenicy za mężem.

M A L W I N A.

Ale kochany wujaszku!..

P O C Z C I W S K I.

No i cóż.. Malwino.. rozgniewasz mię...
Tak, tak, przyrzekłem jej rękę porucznikowi
Sławnickiemu.

S Ł A W N I C K I.

Sławnickiemu?

P O C Z C I W S K I.

Tak jest jednemu z oficerów twojego puł-
ku. Dziś właśnie przyjechał.

S Ł A W N I C K I.

Dziś... tu?.. porucznik Sławnicki?

M A L W I N A.

Tak, na kilka chwil przed przybyciem pana.

S Ł A W N I C K I.

Nie mogę pojąć co to wszystko znaczy.

M A L W I N A.

W tym musi być jakaś tajemnica. Lecz
mimo tego, że wujaszek przyrzekł mi moją
rękę, wiele czasu upłynie nim przyrzeczenie
to przyjdzie do skutku.

P O C Z C I W S K I.

No, no, no, dosyć, dosyć. Nie podobał
ci się? a więc rzecz skłócona; nie ma o czem
mówić. A ponieważ jeszcze jest w mojej mo-
cy, zaślubić cię temu, którego sądzisz być go-
dniejszym... a zatem.. (n. s.) zawsze jednak
blizkie wesele....

SŁAWNICKI. (z obawą)

Czy pani osądziłaś już kogo godniejszym?..

M A L W I N A.

Ale mój wuj... możnaż wierzyć... (dowuja)

Prześtań pan dobrodziej, albo się oddałę.

POCZCIWSKI. (n. s.)

Oj te kobiety, wzięłyby go choć i natychmiast, a wzdraga się.

SCENA XXIII.

CIŻ, ZALOTNICKI, JÓZEF.

JÓZEF. (do Zalotnickiego)

Ale tak panie, widziałem na własne oczy że odjechał...

POCZCIWSKI. (postrzegając Zalotnickiego)

A! otóż i nasz porucznik!

ZALOTNICKI. (postrzegając Sławnickiego)

Sławnicki!

J Ó Z E F.

Tam do wszystkich djabłów!

SŁAWNICKI. (n. s.)

Pułkownik; wybornie, domyślam się wszystkiego, oddajmy mu wet za wet.

J Ó Z E F.

Umykajmy od rozwiązania, bo pewny jestem że się na moich plecach skończy. (odchodzi)

SCENA XXIV.

ZALOTNICKI, MALWINA, POCZCIWSKI i
SŁAWNICKI.

POCZCIWSKI. *(do pułkownika)*

Kochany przyjacielu, załatwijmy spokojnie
rzecz całą, wyznał wszystko i już nie tai że
jest pułkownikiem.

ZALOTNICKI. *(zdziwiony)*

Pułkownikiem!

POCZCIWSKI. *(do Sławnickiego)*

No, już nie będzie ani wzmianki o tem co
się stało.

ZALOTNICKI. *(do Sławnickiego, śmiejąc się)*

Mocno mię cieszy mości pułkownika, że go
tu znajduję..

S Ł A W N I C K I

A mnie bardzo zadziwia obecność pańska
w tem miejscu, mości poruczniku.

Z A L O T N I C K I.

Co za ton, panie pułkownika. Na honor nie
widziałem go nigdy tyle dla mnie groźnym.

S Ł A W N I C K I.

Panie poruczniku, proszę mi powiedzieć,
jak wypełniłeś moje rozkazy?

Z A L O T N I C K I.

Rozkazy?

S Ł A W N I C K I.

Tak jest, rozkazy mu dane.

Z A L O T N I C K I.

Ale ja.. (n. s.) Oto mię podszedł.

P O C Z C I W S K I.

Odpowiedzże pan, możesz go na siebie rozgniewać.

M A L W I N A.

Nie zapominaj pan, że pułkownik się pyta.

Z A L O T N I C K I.

Ależ na honor, nie wiem co odpowiedzieć.
(śmieję się) ha, ha, ha, nie mogę się wstrzymać od śmiechu, ha, ha, ha.

S Ł A W N I C K I.

Wesołość nie na swoim miejscu, mości poruczniku.

M A L W I N A.

Rozgniewasz go pan, jakże można?...

Z A L O T N I C K I.

Pan pułkownik mi przebaczy, ale to zdarzenie jest tak śmieszne, wypadek tak szczególny, że... ha, ha, ha....

S Ł A W N I C K I.

Nie przymuszaj mię pan użyć mojej władzy.

Z A L O T N I C K I.

Ah dla Boga, nie używaj swęj władzy panie, ha, ha, ha.

S Ł A W N I C K I.

Ah, już] nadto! wyjedziesz pan natychmiast, i przez dziesięć dni, na słowo honoru nie opuścisz twojego mieszkania.

Z A L O T N I C K I.

Areszt, ha, ha, ha, przewybornie. (*głośno*) Sądzę że pan pułkownik pozwoli przełczyć sobie...

S Ł A W N I C K I.

Pan to pozwól sobie przełożyć, że jako porucznik winieneś mi posłuszeństwo.

Z A L O T N I C K I.

Ależ bo...

S Ł A W N I C K I.

Ale, ale... żadnego ale... Jestem pana pułkownikiem lub nie?

ZALOTNICKI. (*niby z uszanowaniem.*)

Pan równie jesteś pułkownikiem, jak ja porucznikiem.

P O C Z C I W S K I.

Nie sprzeciwiaj się, wyjedź, wyjedź i już my go tu udobruchamy, ręczę ci: że areszt na połowę skróci. Każę natychmiast konia okulbaczyć. Józefie! Józefie!

ZALOTNICKI. (*n. s.*)

Przekłete zdarzenie! Mamże _wszystko wyznać?

SŁAWNICKI. (*n. s.*)

Sam wpadł w zastawione sieci!

SCENA XXV i Ostatnia.

CIŻ i JÓZEF.

POCZCIWSKI (*do Józefa*)

Słuchaj Józefie, każ podać konia panu porucznikowi.

J Ó Z E F.

Panu porucznikowi? Więc już się wszystko odkryło?

P O C Z C I W S K I.

Wszystko, wszystko. Rzecz poszła jak najlepiej, sam pan pułkownik zostaje u nas.

JÓZEF (*do Zalotnickiego*)

Wybornie! teraz sam pan przyznasz, że najsprawiedliwiej zarobiłem moje piętnaście dukatów. (*do Sławnickiego*) Kiedy pan porucznik życzy sobie oddalić się...

P O C Z C I W S K I

Do kogoż ty mówisz?

J Ó Z E F.

Alboż mi pan nie powiedziałeś, że się wszystko odkryło, i że pan pułkownik zostanie z nami?

P O C Z C I W S K I.

No tak. (*wskazując Zalotnickiego*) Wszakże to jest pan porucznik!

J Ó Z E F.

A tom głupstwo zrobić!

M A L W E I N A.

Co się to ma znaczyć?

S Ł A W N I C K I,

Teraz się wszystko odkryje.

P O C Z C I W S K I.

Co się to dzieje. Proszę, chciejcie mi wytłómaczyć, bo czuję że w mojej głowie mieszać się zaczyna.—Jako, więc pan nie jeste^s pulkownikiem Żalotnickim? (*do Sławnickiego.*)

Z A L O T N I C K I.

Nie, ja nim jestem—ja w istocie. Panie Sławnicki, powracam ci twoje imię i stopień, i proszę was wszystkich jak najuprzejmiej raczcie mi przebaczyć moją śmiałość,

P O C Z C I W S K I.

Więc to pan przybyłeś pod obcym nazwiskiem?

Z A L O T N I C K I.

Aby się pomścić nad nim. Ale chciej mi pan powiedzieć, kto mnie wystawił w takich pięknych farbach, a razem dał powód, do skreślenia nienajpochlebniejszego obrazu.

P O C Z C I W S K I. (*pokazując Józefa*)

Józef, dawny sługa pański.

Z A L O T N I C K I.

Jako łotrze, ty śmiałeś....?

J Ó Z E F.

Panie dobrodzieju, Bogiem a prawdą..niech no pan przypomni sobie, .. ja nie wiele skłamałem...ale kiedy się wszystko tak dobrze kończy...

P O C Z C W I S K I.

Jeszcze nie wszystko, hultaju, nic dobrego oszukałeś mię..

J Ó Z E F.

Ja panie dobrodzieju, ja najrzetelniejszą prawdę powiedziałem, niech sam pan pułkownik przyzna.

S Ł A W N I C K I.

A ze mną jakżeś postąpił?

J Ó Z E F.

Prawda z panem podobno najniegrzeczniej, bo za pieniądze dawałem mu odprawę, ale cóż miałem czynić, kiedy teraz za wszystko płacić trzeba...a potem kiedy się panowie dowiedzą na co ja zbierałem te pieniądze.

P O C Z C I W S K I.

Na cóż więc? na co?

J Ó Z E F.

Na posag przyszłej mojej żony, którą mi pan dobrodziej przyrzekłeś.

P O C Z C I W S K I.

Ożenisz się więc? to dobrze...to zmniejsza
twoją winę—ależeń się jak najprędzej.

Z A L O T N I C K I

Żebyś miał czas odpokutować za dawne
błędy.

P O C Z C I W S K I. (*podając oficerom ręce*)

A teraz zgoda moi panowie, zapomnijmy o
wszystkiem. Mam nadzieję że pan pułko-
wnik zabawi z nami, aż do wesela mojej
Malwiny, bo już teraz pewny jestem że mój
plan małżeństwa przyjdzie niezawodnie do
skutku.

K O N I E C.

SCHADZKA

C Z Y L I

PASZTET Z WĘGORZA.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

z Francuzkiego tłumaczona

PP. Henryka Simon i Dartois.

Muzyka JPana Kratzer.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 24 Września 1834 roku.

O S O B Y.

D'ARMANVILLE JP. *Szymanowski.*
Pani d'ARMANVILLE, jego żona JPa. *Złotoszewska.*
JAN, ogrodnik JP. *Jasiński.*
JULISIA, służąca JPa. *Daszkiewicz.*
Wieśniacy płci obojęd.

(Rzecz dzieje się o milę od Paryża.)

SCHADZKA.

*(Scena przedstawia ogród, po lewej widzów
posąg kobiety, pod nim ławka kamienna)*

SCENA I.

JULISIA. *(wchodzi ostrożnie, niosąc koszyk)*

Nikt mię nie widział wychodzącej z zamku.
A pana Jana nie ma.. Nie wiem dla czego
prosił mię, abym mu potajemnie przynosiła
tutaj żywność, tu, do tego gaiku.. Czyliż on
nie jest ogrodnikiem w zamku tak jak ja słu-
żącą.. Czyliż nie je tak jak ja?.. Jest w tém
jakaś tajemnica, która mię niepokoi.. nie dla
tego żebym miała być ciekawą.. nie, wistoc-
cie ja wcale nie jestem ciekawą.. ale lubię

wiedzieć o wszystkim, chciałabym nauczyć się wszystkiego.

SPIEW, NRO 1.

W miłości trzeba nauki,
Každy ze mną pewno przyzna,
By poznać co jest mężczyzna,
Nie małej potrzeba sztuki.

Cóż mam powiedzieć o Janie?..

W beżżennym znam go już stanie,
Lecz mię ciekawość zwycięża
Poznać go teraz jak męża.
Dla tego też musi mi wyjaśnić..

JAN. (*za sceną*)

Tędy, tędy, pójdźcie..

JULISIA.

Ah otóż i on, ale nie sam, ukryjmy koszyk. (*chowa koszyk za krzaki*)

SCENA II.

JAN, JULISIA, WIEŚNIACY, WIEŚNIACZKI.

SPIEW NRO 2.

CHÓR WIEŚNIAKÓW.

Niech radość rozjaśni lica
Wdzięczności wyrazem,

Dziś ślubu droga rocznica
Zaśpiewajmy razem.

J A N

Niechaj panny plotą wieńce,
Którym miłość związek wróży;
By się cieszyli młodzieńce
Niech troskliwie strzegą róży!

C H Ó R.

Niech radość rozjaśni lica. (j. w.)

J U L I S I A.

Jakto, więc dziś jest rocznica ślubu naszego państwa?

J A N

Tak jest, tak moja kochana Julisiu!.. Ale niech się tak nie stanie jak przeszłego roku. Nasz pan wiedział lepiej od nas o zabawie, którą dla niego przygotowaliśmy... trzeba zachować milczenie.

JEDNĄ Z WIEŚNIACZEK.

Jakto, milczenie?..

J A N

Oh, nie mówię do kobiet.. wiem dobrze że dla nich nie potrzebne zalecenie... wy tak umiście milczeć. (n. s.) jak uczone papugi.

W I E Ś N I A C Z K I.

To pewno.

JULISIA.

Mnie się jednakże zdaje, że pani czegoś się domyśla; gdyż tego rana, kazała mi przygotować ubiór wiejski, który zwykle, co rok w tym dniu przywdziewa, aby nas przekonać że pamięta, iż w tej wiosce się urodziła.

JAN.

Choćby się też i trochę domyślała.. nie wie przecież wszystkiego, a to rzecz najważniejsza... a potem, tego roku podwoiliśmy starania, zabiegi.. Okażę mój gust, dowcip... tego, ani może się spodziwać!.. No teraz wiecie o co rzecz idzie, idźcie się przygotować, a wieczorem wszyscy się tu zejdziemy.

CHÓR. *(odchodząc)*

Niech radość rozjaśni lica... *(j. w)*

S C E N A III.

JAN, JULISIA.

JAN.

Cóż moja Julisiu, przyniosłaś mi?..

JULISIA.

Tak, mości panie, ale ostrzegam cię, przyniosłam raz ostatni, nie lubię tajemnic....

JAN.

Nie gniewaj się... Wyjaśnię ci tę tajemnicę jak zostaniesz moją żoną.

JULISIA.

A więc ożenisz się ze mną?

JAN.

A na czemżeby się nasza miłość skończyła?
wszakże wiesz że wszystkie romanso na tém
się kończą.

ŚPIEW NRO 3.

Do ufności prawo masz,

I gdy twe wdzięki posiędę,
Z rozkoszą uczyć cię będę,

Tego, co jeszcze nie znasz.

JULISIA.

Aż do wesela żądasz bym czekała,

A ja ci wcześniej najszczerzej wyjawię,

Że mi nie powiesz, jestem pewna prawie,

Żadnej skrytości którejbym nie znała.

JAN.

Czy tak? Ale posłuchaj mię, opowiem ci
wszystko. Przypominasz sobie zapewne: że
od niejakiego czasu nasz pan spotkawszy
ciebie zawsze się zatrzymywał, a szczególnie
kiedy mniemał, że go nikt nie widzi.

JULISIA.

Prawda—cóż więc?

SPIEW NRO 4.

J A N.

Mówił: jesteś śliczne dziecię,
Lica jak róże, usta jak korale,
Szczęsny kto będzie pędził z tobą życie.

J U L I S I A.

To pamiętam doskonale.

J A N.

O uścisk prośby zanosił,
Ty mię kochając prawdziwie i stale,
Nie uściskałaś choć cię o to prosił.

J U L I S I A.

Tego nie pamiętam wcale.

J A N.

Do kata! Masz krótką pamięć!..

J U L I S I A.

A więc nas podsłuchiwałaś?... Fe, to brzyd-
ko podsłuchiwać kogo.

J A N.

Możem źle uczynił?.. pewnego razu, gdy
cię nasz pan chciał pocałować, staje przed
nim, i mówi mu z tęgą miną: „Ah panie,
każdy do swojej, Julisia ma zostać moją żo-
ną, a ja nie chcę ażeby nią była przed ślu-
bem... Przecież nasza pani sto razy więcej
od niej warta; gdybym tak jak pan miał do

jedzenia chleb biały i smaczny, tobym nie szukał razowego u sąsiada!..

J U L I S I A.

Jesteś niegrzecznym!

J A N.

Bom sie obawiał zostać czém inném.

J U L I S J A.

Nasz pan pewno się na ciebie rozgniewał?

J A N.

Wcale nie, zaczął się śmiać i powiedział: »Prawdę mówisz, mój Janie» a po chwili, dodał, powiedz mi: Jaką ty potrawę najlepiej lubisz»? Jaką potrawę? odpowiedziałem, wprawdzie jem wszystko, co tylko dają z kuchni JW. pana, ale najlepiej lubię pasztet z węgorka. A więc codziennie teraz pasztet jeść będziesz, a jeżeli się dowiem, że jadłeś co innego.. Julisia ładna... rozumiesz mię?...

J U L I S I A.

Dla tego to nasz pan już od tygodnia ze mną nie mówił?

J A N.

A naturalnie, on myśli, że ja tylko samym pasztetem żyję... Pierwszego dnia bardzo mi smakował... drugiego dnia jadłem go jeszcze

wiele, na trzeci dzień bardzo mało, na czwarty wcale go jeść nie chciałem, i gdyby nie to co mi tu potajemnie przynosisz, byłbym umarł z głodu.

SPIEW Nro 5.

JULISIA.

Jak wesołość, tak zabawy

Kolej zwykłą sobie mają,

I najsmaczniejsze potrawy,

Z czasem smakować przestają.

J A N.

Lecz po ślubu błogiej dobie,

Choć się najem aż do sytu,

Jednak Julisiu przy tobie

Nie utracę apetytu.

JULISIA.

Zobaczemy. Ale tymczasem zazdrość twoja jest przyczyną, że cię wsadzono na dietę. To niegodziwie! Czyliż ja nie jestem dosyć rozsądną, aby się uchronić wszelkich sideł, powiedz sam?.. Czy nie ufasz mojej cności?

J A N.

Téj nigdy bardzo ufać nie można.

JULISIA.

Czy tak? a więc mości Janie zapowiadam ci: jeżeli chcesz abym cię wzięła za męża,

powinieneś naprzód, mieć nieograniczoną u-
fność w twojej żonie; powtóre, powinieneś
być takim jak wszyscy mężowie z Paryża...
nakoniec takim, jak nasz pan, czy widziałeś
ty, żeby on kiedy był zazdrosnym o panią...
Ah postrzegam ich idących. Skryjmy się tu,
usłyszemy ich rozmowę, będzie ona dla ciebie
nauką. (*kryją się za drzewami*)

SCENA IV.

CIŻ, D' ARMANVILLE i jego ŻONA.

D' ARMANVILLE. (*do żony*)

Tak moja kochana, możesz iść sama na
tę zabawę. (*n. s.*) Wiem, że nie będziesz mło-
dzieży, jestem spokojny.

JULISIA. (*cicho do Jana*)

Widzisz jak on ufa swojej żonie.

PANI D'ARMANVILLE.

Nie, mój kochany, nie pójdę... poświęcę tę
świetną zabawę przyjemności pozostania z to-
bą. (*n. s.*) Tam będą same kobiety, znudzi-
łoby się śmiertelnie.

JAN. (*do Julisi*)

Słyszysz jak ona kocha swojego męża.

Tom XI.

12

SPIEW NRO 6.

PANI D'ARMANVILLE,

Wierz mi mój mężu, wcale się nie chlubię,
Ty dla mnie jesteś szczęśliwości! zbiorem;
(n. s.) Jednak i innym podobać się lubię.

JAN. (*do Julisi*)

Niechaj ta żona będzie dla cię wzorem.

D'ARMANVILLE. (*do żony*)

Jestem szczęśliwy gdy siedzę przy tobie,
Tys dla mnie wszystkiem. ręczę ci honorem.
(n. s.) Lecz i o Julji myślę w tejże dobie.

JULISIA. (*do Jana*)

Niech ten małżonek będzie dla cię wzorem.

PANI D'ARMANVILLE.

Mój mężu, mówiłeś mi, że kontent jesteś
z twojego ogrodnika.

D'ARMANVILLE.

Tak, dobry chłopiec.

JAN. (*cicho do Julisi*)

Słyszysz jak mię chwali.

D'ARMANVILLE.

Trochę głupi...

JULISIA. (*do Jana*)

Słyszysz jak cię chwali.

PANI D'ARMANVILLE.

Kocha Julię, a sądzę, że i wniej dostępe-
przywiązanie ku niemu.

D,ARMANVILLE.

Tak sądzisz?

PANI D' ARMANVILLE.

Pewna jestem ... Julisia jest przyjemne
dziewczę.

JULISIA (*do Jana*)

Poznała się na mnie.

PANI D' ARMANVILLE.

Nieco zalotna...

JAN (*do Julisi*)

Poznała się na tobie.

PANI D' ARMANVILLE.

Ale rozsądna, wie jak sobie postępować.

D'ARMANVILLE (*n. s.*)

[Ja to wiem najlepiej.

PANI D' ARMANVILLE.

Myślę ją wyposażyć.

J A N.

O kochana Pani!

D'ARMANVILLE (*zmięszany*)

Zgadzam się na to, i... (*n. s.*) do licha,
nie ma czasu do stracenia, wymknie mi się
dziewczyzna.

PANI D' ARMANVILLE.

Trzeba uwieńczyć ich miłość.

D'ARMANVILLE. ?

Niema nic tak pilnego.

PANI D' ARMANVILLE.

Jan młody, ona ładna, niecierpliwie pewno oczekuje chwili posiadania tytuł wdzięków

D'ARMANVILLE.

O, bądź pewna moja żono, że w tym punkcie stawiam się na jego miejscu.

PANI D' ARMANVILLE.

Czyliż nie uczynisz dla niego?

D'ARMANVILLE.

I owszem, więcej nawet niżli się spodziewa.

JAN (*n. s.*)

Mój Pan mi bardzo dobrze życzy.

PANI D' ARMANVILLE.

Twój urząd niezadługo wezwie cię do stolicy... Nim więc opuścimy ten zamek, uczynimy dwoje ludzi szczęśliwymi, połączmy ich, dziś jeszcze... małżeństwo to...

JAN I JULISIA (*zbliżając się*)

Ah Panie, ach pani, przyjmijcie nasze dzięki.

D'ARMANVILLE.

Jakto? byliście tu?

J A N.

Tak jest, i ten wyraz małżeństwo...

PANI D' ARMANVILLE.

Więc już wiecie o wszystkim, ja zajmę się Julisią.

D'ARMANVILLE (*uderzając Jana po ramieniu.*)

A ja biorę Jana w moją opiekę, już ja się zajmę tobą. (*do Jana*) Zaręczam ci, że będziesz szczęśliwy.

JAN (*n. s.*)

Aj, aj, to szczęście! (*głośno*) Oh ileż będziemy winni wdzięczności...

D'ARMANVILLE.

Proszę cię zawczasu, abyś mi nie dziękował za to...

J A N.

Pozwól pan przynajmniej, aby nasza wdzięczność....

D'ARMANVILLE.

Nagradzając twoje przywiązanie, jestem nagrodzony. (*n. s.*) Przecież Julisia tu zostanie.

J A N.

Ah, JW. Panie tyle dobroci przejmaje mnie....

PANI D' ARMANVILLE.

Teraz moi przyjaciele, pójdę wydać rozkazy do przygotowań waszego wesela. Dziś

wieczór kontrakt się ułoży....

D'ARMANVILLE.

Tak, dziś wieczór, jeżeli będzie można, to się zrobi.

J A N.

Można... można...

D'ARMANVILLE.

Sądzę, żeby należało czekać familji panny młodej.

J A N.

Niech nas pan ożeni bez niej, familja potem przybędzie. (*Pani d'Armanville wychodzi z Julsią, P. d'Armanville odchodzi za niemi.*)

JAN (*zastępując mu drogę*)

Panie, czy dieta pasztetowa trwa jeszcze?

D'ARMANVILLE.

Tak, tak, aż do jutra nic dobrego! (*wychodzi.*)

SCENA V.

JAN (*sam*)

Rzecz widoczna... przedłużając próbę, pan myśli że mię złapie... Julisia mu zawsze ciąży trochę na sercu, ale to przeminie z czasem. Teraz kiedy jestem sam, zobaczmy co tam

jest w koszyku... Oh! co za doskonałe rzeczy!... jaka szkoda, że człowiek musi drżący żęć wszystko! dla tego też to nie na korzyść się obraca... Szczęściem ten przymus ukończy się wkrótce! Jak się tylko ożenię, natychmiast sobie kupię jaką chałupę na wsi, i uciekam z moją połowicą, bo kto wie czy pan nie chciałby powetować wydatków na nasze wesele... Ale na co się dręczyć zawczasie, weźmy się do jedzenia (*siada pod drzewem odwrócony zupełnie w jedną stronę*) To było pewno przygotowane na obiad dla naszego pana. Oh gdyby wiedział o tém, możeby wziął to, co dla mnie jest przygotowaném... ale nie mam się czego obawiać, jestem o-
stróżny. (*zajada*)

SCENA VI.

P. D' ARMANVILLE, JAN (*P. d'Armanville wchodzi z przeciwnej strony, niespostrzega Jana i mówi do siebie.*)

D'ARMANVILLE.

Zdaje się, ten łotr Jan wierny jest przyrzeczeniu... Pragnąłbym z duszy aby się stał nieposłusznym, miałbym pozór...

JAN (*nie widząc pana*)

Dobre, przedziwne!...

D'ARMANVILLE (*spostrzegłszy go, d. s.*)

Co widzę?... to on!... Aha, byłem pewny?
że nie dotrzyma.

JAN (*mając pełne usta*)

Otóż już piąty dzień przepędzam w takiej
diecie!

D'ARMANVILLE.

A ja miałem sobie za występki... Ah, drogo
mi to przypłacisz!

JAN (*jedząc*)

To dla mnie wszystko jedno! Rozmaitość
moje godło!

D'ARMANVILLE.

Będzie i mojem także! (*spostrzegając Julis-
sie*) Co widzę Julisia tu biegnie, nie mogła
przybyć w lepszą porę.

SCENA VII.

CIŻ I JULISIA.

JULISIA (*wbiega*)

Zobaczmy czy Jan?... (*spostrzega Pana
d'Armanville*)

D'ARMANVILLE (*bierze ją za rękę*)
Przychodźże piękna Julisiu.

JULISIA (*zadziwiona*)

Jako, pan tu?...

D'ARMANVILLE (*półgłosem*)

Codzień jesteś piękniejszą.

JULISIA (*z ukłonem*)

Ah pan jest zbyt grzeczny!... ale Jan szuka mię wszędzie.

D'ARMANVILLE.

Jan!.. w tej chwili ani myśli o tobie.

JAN. (*n. s. jedząc ciagle*)

Pan ani się domyśla, że go tak oszukuję.

JULISIA.

Jednak dopiero widziałam go w zamku.

D'ARMANVILLE.

Ah, widziałas go w zamku (*pokazując jej Jana który je ciagle*) patrz.

JULISIA. (*prosząc*)

Ah, panie, przebacz!

D'ARMANVILLE.

Milczenie!.. bo jeżeli nie, niebędzie nic z małżeństwa.

JULISIA.

Już milczę... ale muszę pana opuścić...

D'ARMANVILLE. "

Zostań, albo nie zaślubisz twójgo Jana.

JULISIA.

Zostaję... ale panie, ja cię słuchać nie będę.
(zatyka uszy)

D'ARMANVILLE.

Słuchaj... albo nie dostaniesz posagu.

JULISIA.

Słucham, słucham, niech pan mówi... (n. s.)
Mój biedny Jan, co czynię to wszystko z mi-
łości dla niego.

JAN. (d. s.)

Oto figla wypłatałem naszemu panu.

D'ARMANVILLE. (do Julisi)

Im więcej ci się przypatruję tem więcej! u-
wielbiam tę postać ujmującą...

JAN. (jedząc, mówi do siebie)

Prawdę mówią: że apetyt z jedzeniem przy-
ch odzi.

D'ARMANVILLE (do Julisi)

Prawdziwie, nie można być piękniejszą.

JAN.

Jeszcze i to skonsumuję.

JULISIA.

Mów pan ciszej.

JAN. (d. s.)

Czego się lękać, śmiało.

D'ARMANVILLE. (*do Julisi*)

Ta śliczna pulchniutka rączka.

JAN. (*d. s.*)

Skrzydółko doskonałe.

D'ARMANVILLE. (*do Julisi*)

Jeżeli będziesz mię kochać, wszystkiego o-
demnie spodziewać się możesz.

JAN. (*jedząc, d. s.*)

Ah! tego nikt nie dotykał się nawet.

D'ARMANVILLE.

Twoje spojrzenie przenika mię miłością...

JAN (*pijąc*)

Na zdrowie JW. pana.

JULISIA.

Jan mię kocha i ufa mojej wierności.

D'ARMANVILLE.

Głupiec.

JULISIA.

Ożeni się ze mną...

D'ARMANVILLE. (*ściska ją*)

Nie bądź okrutną!..

JAN (*patrząc na butelkę*)

Ah, muszę wysączyć do kropelki. (*wypiwszy*)

Dobra dusza, prawie pod jego okiem wszyst-
ko się odbywa, a on nic nie widzi; jakże go
żałują.

JULISIA.

Jakto panie, prawie pod okiem tu ojego przyszedłgo!

JAN. (*d. s. śmiejąc się*)

Otoż to się nazywa drwić sobie ze świata

D'ARMANVILLE.

Błagam o całusek...

JULISIA.

Alboż pocałowania żony już panu nie przyjemne?

JAN. (*d. s.*)

Kiedy się co je ukradkiem, jakoś lepiej smakuje.

D'ARMANVILLE.

Wydarty całus ma więcej ponęty.

JAN. (*d. s.*)

Prawdę mówią, najlepszy owoc zakazany.

(*Pan D'Armanville całuje Julisję*)

JAN. (*wstaje*)

Ah, dosyć już tego (*odwraca się i spostrzega pana*) Ah do milion, kroć!... czy ja dobrze widziałem!

JULISIA. (*przestraszona*)

Ah! (*ucieka*)

SCENA VIII.

D'ARMANVILLE JAN.

J A N.

Ah, co za obraza, co za wzgarda dla mnie, dla mnie narzeczonego. Dla mnie, który dawszy nic nie znaczące prawie przyrzeczenie, dotrzymywałem go jednakże wiernie, żyjąc samym tylko pasztetem.

D'ARMANVILLE.

Uzalasz się jeszcze?

J A N.

Pościełem tak troskliwie!

D'ARMANVILLE. (*wskazując koszyk*)

Doprawdy, patrz łotrze oto dowody twojej wstrzeźliwości.

SCENA IX.

CIŻ I PANI D'ARMANVILLE.

PANI D'ARMANVILLE.

Cóż to za hałas?

D'ARMANVILLE. (*d. s.*)

Moja żona (*głośno*) żart, .. nie... tak, niby... (*n. s.*) nie wiem co jej powiedzieć.

PANI D'ARMANVILLE.

Ale dla czegoż to uniesienie, cóż takiego uczynił?

JAN. (*cicho do pana D'Armanville*)

Czy mam powiedzieć?

D'ARMANVILLE. (*cicho do Jana*)

Cicho. albo cię wypędzę... (*głośno*) Pokłócił się z swoją przyszłą i godziłem ich.

J A N.

Jeżeliby nas pan zawsze godził w ten sposób, tobyśmy się zupełnie poróżnili.

PANI D'ARMANVILLE.

Ale jakiż powód kłótni?

J A N.

Opowiem JWpani.

D'ARMANVILLE. (*zatrzymując Jana*)

Łotrze... zakazuję ci. (*głośno*) Jan, jest dobry chłopiec, szacuję go, lubię bardzo... (*cicho do Jana*) Każę ci skórę wygrzmocić, jeżeli nie będziesz milczał. (*głośno*) Ale jest popędliwy, brak mu uprzejmości...

PANI D' ARMANVILLE.

Dla jego przeszłej... ah to źle.

D'ARMANVILLE. (*z dobrocią*)

Ale on się poprawi, nieprawdaż mój chłopcze, że na drugi raz gniewać się nie będziesz?

J A N.

Tak, tak, panie, na drugi raz...

D'ARMANVILLE (*cicho*)

Ani słowa! (*głośno*) Muszę z nim rozsądnie pomówić, z łagodnością. (*popycha go przed sobą*) Dalej, ruszaj naprzód, mam ci dać niektóre rozkazy. (*wychodzi za Janem*)

SCENA X.

PANI D'ARMANVILLE. (*sama patrzy za wychodzącymi śmieje się*)

Ha, ha, ha, jak trudno mojemu mężowi ukryć to, o czém wiem tak dobrze jak on! Julisia nie raz mi już mówiła... Sądzę, że mój mąż z największą radością chciałby w swojej wiosce przywrócić piękne prawo dziedzica... Ah mój panie mężu, po dwu latach małżeństwa już probujesz szczęścia... Podobne postępowanie nie da się usprawiedliwić, i będziesz go kiedyś żałował.

SCENA XI.

PANI D'ARMANVILLE, JULISIA.

JULISIA, (*wbiegając*)

Ah pani, pani, mam jćj wiele do powiedzenia.

PANI D'ARMANVILLE.

Czy względem mojego męża?

JULISIA.

Tak jest... ale niech to panią nie gniewa.

PANI D'ARMANVILLE. (*uśmiechając się*)

A więc rzecz bardzo ważna?

SPIEW NR 7.

JULISIA.

By uwikłać pana zręczniej

Miałam pełnić jego chęci,

Gdy mię postrzegł jak najwdzięczniej

Koło całusa się kręci.

Mocno wzbraniałam się zrazu,

Uległam, zleceń pamiętna.

PANI D'ARMANVILLE.

Na przyszłość nie bądź tak chętna

W spełnianiu tego rozkazu.

JULISIA.

To jeszcze nie wszystko.

PANI D'ARMANVILLE.

Nie wszystko?

JULISIA.

Jak tylko pan mię pocałował, uciekłam, bo
nas mój Jan zobaczył.

PANI D'ARMANVILLE.

Ah, pięknie, bardzo pięknie, mój mężu!

J U L I S I A.

Pan pobiegł za mną, i zeszedł się tam przy wielkiej alei, przy drzwiach tej świątyni, jak to ją pani nazywa?

PANI D'ARMANVILLE.

Świątynia wierności... mój mąż wszedł do niej?

J U L I S I A.

Gdzie tam, obszedł ją zdala, i rzekł do mnie. »Moja Julisiu mam ci coś ważnego powiedzieć.. Jeżeli dziś wieczor o ósmej będziesz w tym gajku przy pawilonie na końcu zwierzyńca...«

PANI D'ARMANVILLE. (*z żywością przerywając*)

Tutaj... Obiecałaś przyjść...

J U L I S I A.

Obiecałam, wszakże ta była myśl pani?.

PANI D'ARMANVILLE.

Przeciwnie...

SPIEW NRO 8.

J U L I S I A.

Aż dotychczas co do joty,

Jej rozkazy wypełniałam;

Gdy pan zwierzał swe pustoty,

Ze im sprzyjam, udawałam.

Cóż pani teraz rozkaże?

Możesz zaufać mej cnocie,
Na wszystko dziś się odważę,
Mamże sam na sam być w grocie?
Dobroć twą panizawdzięczę.

PANI D'ARMANVILLE.

Teraz już ja cię wyręczę.

JULISIA.

Jeżeli pani za mnie pójdzie na miejsce
umówione, nie tyle się narażasz na niebez-
pieczeństwo, ile ja.

PANI D'ARMANVILLE.

Mam dla niego nauzkę.

JULISIA.

Bardzo dobrze.

PANI D'ARMANVILLE.

Chcę aby powrócił do żony.

JULISIA.

Tak, tak niech wróci; zasłużył bowiem na
karę... A więc pani, odtąd już nie pozwolę
panu...

PANI D'ARMANVILLE.

Tak, tak, nic a nic...

D'ARMANVILLE. (*za sceną*)

Janie! Janie!

PANI D'ARMANVILLE.

Ah, to on... Rozłączmy się, mógłby się

domyślcć, że mówiłaś ze mną. Oh mężowie
mężowie! (*odchodzą*)

SCENA XII.

D'ARMANVIELLE. (*sam*)

Niech kaci porwą przeszkody!.. Ten prze-
kłęty list niweczy wszystkie moje zamiary!
Niepodobna mi znajdować się na umówionem
miejscu z Julisią. (*wołając*) Janie!.. Janie!..
Muszę natychmiast jechać do Paryża... Do-
wiaduję się, że bankier, u którego złożyłem
część mojego majątku, wkrótce zawiesi swo-
je wypłaty... Mój notariusz donosi mi, że mo-
że jutro, już nie odbiorę mojego kapitału. Nie
nie powiem mojej żonie o tym liście... była-
by niespokojną... (*patrzy na zegarek*) Nie-
podobna wrócić na ósmą godzinę. Gdybym
mógł wynaleźć jaki sposób do opóźnienia za-
ślubin Julisi!.. tylko do jutra... Ale... tak...
poróżniwszy kochanków... Przedziwnie... Janie!
Janie!

SCENA XIII.

D'ARMANVILLE, JAN.

JAN. (*przybiegając*)

Czy pan żąda konia?

D'ARMANVILLE.

Nie, ciebie, ciebie. Czy wszystko przygotowane do mojego wyjazdu?

J A N.

Już wszystko... Jednakże chociaż tu nie będzie JWgo pana, moglibyśmy dla tego odbyć wesele.

D'ARMANVILLE.

Oh bezwątpienia. Łotrze, możesz śmiało sobie pochlebiać, że się urodziłeś pod szczęśliwą gwiazdą.

J A N.

Prawda, moja matka mówiła mi, że się w czepku urodził pod znakiem barana...

D'ARMANVILLE.

I że umrzesz pod tym znakiem, zaręczam ci. Jesteś człowiek przystojny...

J A N.

Zbytnią dobroć JWgo pana. (n. s.) Do czego on zmierza?..

D'ARMANVILLE.

Ożenisz się z przesliczną dziewczyną.

J A N.

Oh ja wiem, wiem, że ona jest w guście JWgo pana.

D'ARMANVILLE.

Ona cię uczyni szczęśliwym.

J A N.

Dla tego też wziętem dziewczynę łagodną
przyjemną i wierną.

D' ARMANVILLE.

Oh wierną!

J A N.

Tak, panie, jest wierną, na wsi wszystkie
dziewczęta są wierne.

SPIEW NRO 9.

Nie znają zdrady, pustoty,
Płochości, w swém życiu całym,

Wdzięki i rozliczne cnoty,

Wieśniaczek tylko udziałem.

Stałością każda przejęta;

Bo gdyby ufność zdradzały,

Czémżeby wiejskie dziewczęta

Od miejskich się odróżniały?

Dla tego pragnę jak najgoręcej, dziś jeszcze
w wieczór ożenić się z Julisją.

D' ARMANVILLE.

A gdybym ci dowiódł, że ta kobieta tak
wierna, dała mi *rendez-vous*, chciałżebyś ją
dziś jeszcze zaślubić?

J A N.

Nie, do kroćset piorunów!.. toby wymagało
dłuższego zastanowienia, nawet dowodów.

D'ARMANVILLE. (n. s.)

Przedziwnie!

J A N.

Ale nie... Pan zapewne chce mi co wmówić przed ślubem.... żartuje sobie ze mnie.

D'ARMANVILLE.

Istotna prawda... i tego wieczora, o ósmej, tutaj...

J A N.

Tutaj... Julisia?.. tu miejsce schadzki.

D'ARMANVILLE.

W tej chwili wyjeżdżam do Paryża, gdyby nie to, przekonałbym cię....

JAN. (z żywością)

Do pioruna, ale to nie nie szkodzi. Gdybym ja też zajął miejsce pańskie w tej schadzce, pan nie dawno moje zajmował.

D'ARMANVILLE. (n. s.)

Mam go.

SPIEW NRO 10.

J A N.

Abym się mojej pomścił niedoli,
Sam tu przybędę w wieczorną porę:

D'ARMANVILLE.

Ale czy pojdziesz dowcip mój roli?

J A N.

Wszkże się w suknie pańskie ubiorę.

By ją uludzić, sprawię się dzielnie.

D'ARMANVILLE.

Tkliwą jej miłość okaż dowodnie.

J A N.

Przysięgać, wzdychać, kłamać bezczelnie.....

Już ja tu pana zastąpię godnie.

D'ARMANVILLE.

Zdaję się na ciebie.

J A N.

Zdrajczyń, pamięta! mnie wyrzucić podobny figiel, w samym trylu ożenienia!

D'ARMANVILLE.

Umiarkuj się!

J A N:

Czyliż ludzie tacy jak ja, przyjmują to kiedy łagodniej?

D'ARMANVILLE.

Bez wątpienia, inaczej wszystko od razu zepsujesz. Pamiętaj więc:

SPIEW Nro 11.

Wieczorną dobą,

Gdy zmrok nastanie,

Sam na sam z tobą

Będzie mój Janie.

Lecz oszukując się wzajem....

(żartując)

Niech godność będzie nieznaną.

(odchodzi)

J A N.

Nie pierwszym będę lokajem.

- Którego wzięto za pana.

(odchodzi za panem)

SCENA XIV.

PANI D'ARMANVILLE. *(sama, ubrana po wiejsku)*

Pod tym ubiorem będę miała postać prostej wieśniaczki... Tu więc miejsce umówionej schadzki. Pewną jestem, że mój pan małżonek mię nie pozna; widząc mię w tych sukniach, wyjawiać mi będzie uczucia, któremi dusza jego przejęta, i dzięki mojemu śmiałemu postępkowi, dowiem się do jakiego stopnia zdradę posunie. Już się zmierschac zaczyna...

SCENA XV.

PANI D'ARMANVILLE, JULISIA.

J U L I S I A.

Pani! pani!... nie udało nam się! Pan tylko co wyjechał... widziałam go wsiadającego na koń.

PANI D'ARMANVILLE.

Jakto?

J U L I S I A.

Tak pani niezawodnie!.. udał się drogą ku Paryżowi.

PANI D'ARMANVILLE.

Nowy podstęp... zapewne wróci małemi drzwiczkami od zwierzyńca.

J U L I S I A.

Ale przysięgam pani, że klusem odjechał.

PANI D'ARMANVILLE. (n. s.)

A galopem wróci... może i ona w porozumieniu.

J U L I S I A.

Nie pojmuję dla czego pan wyjechał tak skrycie i z takim pośpiechem.

PANI D'ARMANVILLE.

Mniejsza o to, zatrzymam się tu czas niejaki. Julisiu, pamiętajże podług mojego zlecenia przyprowadzić z sobą wieśniaków, albowiem tu nawet, chcę go przymusić do podpisania twojego kontraktu ślubnego.

J U L I S I A.

O w tym względzie niech się pani zda na mnie zupełnie. (*odchodzi, noc zupełna*)

SCENA XVI.

PANI D'ARMANVILLE, JAN.

JAN. (*w fraku i w kapeluszu pana D'Armanville*)

Ah, do kroćset piorunów! Jeżeli się nie wściekam z całego serca, to tylko dla tego, że przyjemnie jest być panem, choć na kilka minut.

PANI D'ARMANVILLE. (*n. s.*)

Ktoś tu jest.

JAN (*d. s.*)

Tam być musi! psyt, psyt! (*śpiewa półgłosem*) Ah posłuchaj głosu mego...

PANI D'ARMANVILLE. (*naśladując głos Julii*)

Czy to JWpan?...

JAN. (*naśladując głos pana*)

Tak, tak, to ja. Gdzież jesteś moje dziecko?!

PANI D'ARMANVILLE. (*zdala*)

Oto tu JWpanie! (*n. s.*) Jak jego głos zmieniony, zapewne sumienie go dręczy.

JAN. (*n. s.*)

Trzeba się przymuszać! (*głośno*) Przybliź się, przybliź się jeszcze.

PANI D'ARMANVILLE. (*zdala*)

Ah, ja nie śmiem.

JAN. (*n. s.*)

No proszę, nie wiedziałem, że taka boja-
źliwa!

ŚPIEW NR 12.

J A N.

Ah ty drżysz nieboże!

PANI D'ARMANVILLE.

To prawda, wyznaję.

JAN. (*n. s.*)

To ze złości może.

(*głośno*) I ja drzę, nie taję!

PANI D'ARMANVILLE.

Pan drzy, to mię dziwi...

Ah, w takim zdarzeniu,

Kiedyśmy szczęśliwi,

Nie mów pan o drzeniu.

JAN. (*głośno*)

I cóż oddalasz się odemnie! czy się gnie-
waż na mnie?

PANI D'ARMANVILLE.

Boję się, żeby mię niepoznano?

J A N.

I kogóż się możesz obawiać? twójego przy-
szłego?

PANI D'ARMANVILLE.

Jana!.. Oh nie, to głupiec...

JAN. (n. s.)

Głupiec! dowiodę ci, że nim nie jestem.

PANI D'ARMANVILLE.

Ale obawiam się żony JWgo pana.

J A N.

Moję żony? O nią bądź spokojna, 'ta dobra dusza, w nią wszystko wmówisz co zechcesz.

PANI D'ARMANVILLE.

Ale bo...

J A N.

I o cóż idzie.. wszakże mię kochasz?

PANI D'ARMANVILLE.

Gdybym tylko śmiała...

J A N.

Proszę cię, powiedz...

PANI D'ARMANVILLE.

Ja nie wiem czy to wypada mówić...

JAN. (n. s.)

Nie wie czy mówić wypada, a przyjąć wypadło. (*głośno*) I cóż... kochaszże mnie? (*zamięrza się*)

PANI D'ARMANVILLE.

Tak... chcę.. kocham...

JAN.(n. s.)

Nie wytrzymam, dalibóg.. ah, bodajżeś z piekła nie wyjrzała!

PANI D'ARMANVILLE

Co JWpan o piekle mówi?..

J A N.

Ja mówię, mówię, że w mojem sercu ogień jak w piekle. (n. s.) Ale teraz do nauki JWpana. (głośno) Luba dziewczyno... jesteś tak piękną.. że.. nie piękniejszego w życiu mojem nie widziałem.

PANI D'ARMANVILLE. (z gniewem)

Doprawdy?.. a przecież i żona JWgo pana?..

J A N.

Moja żona.. z tobą nawet porównać się nie może.

PANI D'ARMANVILLE. (n. s.)

Ah to przyjemnie.

J A N.

A potem ta rączka, śliczniuchna, palehniutka. (n. s.) żebyś mógł tobyś ją złamać.

PANI D'ARMANVILLE.

A i żona JWgo pana?..

J A N.

Dajże mi pokój z tą żoną. (załamując się) miłość tylko przy tobie serce moje zapala. (n. s.) nie wiem zkad mi takie grzeczności do głowy przychodzą.

PANI D' ARMANVILLE. (*d. s.*)

Co za niegodne postępowanie!

JAN. (*n. s.*)

To skutek ubioru!

SCENA XVII.

CIŻ I D' ARMANVILLE.

D' ARMANVILLE. (*wchodząc z przeciwnéj strony*)

Zaluję teraz, że wysłałem Jana na miejsce schadzki. Spotkałem notariusza jadącego do mnie i mogę pozostać w zamku.

PANI D' ARMANVILLE. (*niby przelęta*)

O nieba usłyszałam kogós mówiącego. (*n. s.*)
Zapewne Julisia.

J A N.

Zobaczę. (*oddala się od pani d' Armanville i idzie ku panu d' Armanville*)

D' ARMANVILLE.

Oni są tam jeszcze? (*idzie naprzeciw Jana, spotykają się*) Ah to ty Janie?

JAN. (*cicho do pana*)

Ah to JWpan!

D' ARMANVILLE. (*cicho do Jana*)

Cicho, a cóż, pokłóciliście się ze sobą?

J A N.

Jeszcze nie... zrazu chciałem na początek...
ale później zastanowiłem się... nie śmiałem
jakoś...

D'ARMANVILLE.

Już ja ci dodam o dwagi...

J A N.

Ale bo... ja i sam... tylko żeby JWpana nie
usłyszała.

D'ARMANVILLE. (*popycha go*)

Idźże do niej.

J A N.

Kiedy już wszystko powiedziałem, co mię
JWpan nauczył, trzeba by... nie wiem już co
mówić.

D'ARMANVILLE. (*z cicha do Jana*)

Ja cię nauczę....

SPIEW Nro 13.

Miej litość na me cierpienia!

JAN. (*powtarza*)

Miej litość na me cierpienia!

PANI D'ARMANVILLE. (*n. s.*)

Ah, jakie cierpienia!

D'ARMANVILLE. (*j. w.*)

Utwych nóg składam westchnienia!

JAN. (*powtarza*)

Utwych nóg składam westchnienia!

D'ARMANVILLE. (*j. w.*)

Teraz klękaj!

JAN. (*powtarza*)

Teraz klękaj!

D'ARMANVILLE.

Lecz to ty!

J A N.

Ochoty nie mam.

D'ARMANVILLE.

Klękaj!

JAN. (*klęka*)

Klęczę.

D'ARMANVILLE. (*j. w.*)

Weź jej rękę.

J A N.

Już ją trzymam.

PANI D'ARMANVILLE. (*n. s.*)

Cóż on sam z sobą rozmawia!

D'ARMANVILLE. (*j. w.*)

O uścisk prośbę zanoszę.

J A N.

O uścisk prośbę zanoszę.

PANI D'ARMANVILLE. (*n. s.*)

Mężom się to nie odmawia!

J A N.

Cóż mam czynić?

D'ARMANVILLE. (*j. w.*)

Pocałować.

J A N.

Wolałbym ją zamordować.

D'ARMANVILLE.

Zazdroszczę twojego szczęścia.

J A N.

Pańskim zyskane fortelem.

D'ARMANVILLE.

Przyspiesz jej chwilę zameżcia,

Będę twym nauczycielem.

J A N.

Prawda teraz jasno świeci,

Coby potém było z nami;

Oto wszystkie moje dzieci

Byłyby jego uczniami!

D'ARMANVILLE.

Zazdroszczę twojego szczęścia,

Chociaż zyskane fortelem,

Przyspiesz chwilę jej zameżcia,

Będę twym nauczycielem.

PANI D'ARMANVILLE.

Dla mnie obcy widok szczęścia,

Złudził mię tylko weselem,

Bo od dnia mego zameżcia,

Tylko zdrada jego celem.

J A N.

Prawda teraz jasno świeci,

Coby potém było z nami,

Oto wszystkie moje dzieci,

Byłyby jego uczniami.

(słychać za sceną odgłosy wieśniaków)

R
a
z
e
m:

D'ARMANVILLE.

Co znaczy ta wrzawa? (*chce odejść i napotyka Julisję.*)

SCENA XVIII.

CIŻ i JULISIA (*pani d'Armanville staje w głębi.*)

JULISIA.

Zobaczę, czy już czas przywołać wieśniaków...

D'ARMANVILLE.

Kto tu?

JULISIA.

To ja JWpanie przychodzę...

D'ARMANVILLE. (*prędko!*)

Julisiu! Sądziłem, że ty jesteś tam...

JULISIA.

Tak, tak miałam być; ale wyznałam wszystko żonie JWpana i ona zajęła moje miejsce.

D'ARMANVILLE.

Moja żona! Ah do kroćset! Janie! Janie!

JAN. (*trzymając za rękę posąg*)

Cicho panie!... biédaczka, tak jej zimno, weźno pan tylko jej rękę, przekonasz się.

D'ARMANVILLE. (*porywając go za rękę odpycha ku Julisi*)

Pójdź precz łotrze przeklęty!..

J A N.

Czy już JWpan niebędzie mi więcej suf-
lował, na tém się skończyło.

JULISIA. (*biorąc Jana za rękę*)
Oto chwila naszego połączenia.

J A N.

Jeszcze jedna Julisia tutaj!..

JULISIA. (*za scenę*)
Pójdźcie wszyscy...

SCENA XIX.

CIŻ i WIEŚNIACY. (*Wieśniaczki i Wiesniacy
wchodzą z pochodniami.*)

C H Ó R.

Ślubu naszego dziedzica,

Dziś błoga rocznica.

Nieśmy w hołdzie skromne dary,

Dla tak wiernej pary! (*wieśniacy po-
dają bukiety.*)

D'ARMANVILLE. (*przerywając*)

He, dajcież mi pokój...

JULISIA. (*zbliża się i podaje bukiet z róż bia-
łych panu D'Armanville*)

JWpanie...

Niesie w hołdzie skromne dary,

Dla tak wiernej pary.

D'ARMANVILLE. (*biorąc bukiet*)
Dosyc, dosyc! Kto wam kazał przyjść tutaj?

W S Z Y S C Y.

Jaśnie Wielmożna pani.

D'ARMANVILLE. (*n. s.*)

Moja żona.

PANI D'ARMANVILLE. (*zbliżając się naprzód sceny*)

O ja sama! przed chwilą słyszałam wiele pięknych rzeczy... tu... poznaszże mnie?

J A N. (*n. s.*)

Ah, ja byłem sam na sam z JWpanią!... A do sto piorunów, gdybym ja był wiedział!

PANI D'ARMANVILLE.

Teraz pan nie zaprzeczysz, że byłeś tu?

D'ARMANVILLE.

Tak byłem (*n. s.*) I to moje wielkie szczęście.

PANI D'ARMANVILLE. (*do męża*)

Nie będę ci czynić wyrzutów, ale spodziewam się, że to już było raz ostatni, za dowód podpisz kontrakt ślubny Jana i Julisi. Widzisz jak jestem pobłażającą, na tém ograniczam moją zemstę.

D'ARMANVILLE.

Ileż dobroci!.. Niech więc jak najprędzej się pobiorą.

JAN. (*do Julisi*)

Dając mi ciebie za żonę, wiem że się nie gniewa, ale gdybym ja był wiedział.

PANI D'ARMANVILLE. (*patrząc na Jana*)
Jakże to Jan ubrany?

J A N.

Bo to... JWpani... to jest... (*d'Armanville podaje mu skrycie worek z pieniędzmi*) podarunek ślubny JWpana.

PANI D'ARMANVILLE. (*do męża*)
Czy tak?

D'ARMANVILLE. (*w kłopotcie*)

Tak, tak, żarcik, który mi przyszedł do głowy... Później ci opowiem.

PANI D'ARMANVILLE.

Mam nadzieję, że to był ostatni.

D'ARMANVILLE.

Oh przysięgam ci...

J A N.

I ja przysięgam; i może mi JWpani wierzyć lepiej jak komu innemu.

D'ARMANVILLE.

Cicho bądź.

JAN. (*cicho do pana d'Armanville*)

A dieta pasztetowa?

D'ARMANVILLE.

Już ukończona!... Teraz możesz jeść wszystko co ci się podoba.

JAN I WIEŚNIACY.

Niech żyje JWpan!

SPIEW Nro 14.

PANI D'ARMANVILLE.

Gdy mąż zdradza swoją żonę,
Często smutne skutki z tego,
Żona spojrzy winną stronę,
Zapragnie dobra cudzego.

D'ARMANVILLE.

Dziś miałem pamiątkę trwałą,
Niezapomną nigdy tego;
Kto żonę żąda mieć stałą,
Niech nie nie pragnie cudzego.

J A N.

Kocham cię wiernie żoneczko,
Lecz mając już męża swego;
Niechże ci się kochaneczko,
Nie zachce dobra cudzego.

PANI D'ARMANVILLE.

Nagany czy też oklaski,
Własność autora samego,
Tłumacz nie chcąc nic cudzego,
Waszój tylko pragnie łaski.

K O N I E C.

K A Ź D Y
ZE SWEJ STRONY.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

z Francuzkiego przełożona

PP. Cheaulon i Armand Dartois.

Muzyka J Pana Kratzer.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 5 Października 1832 roku.

O S O B Y.

VALMONT	JP. <i>Baraniecki.</i>
Panna GERNANCE	JPa. <i>Żółkowska.</i>
HENRYK, siostrzeniec pana VALMONT	JP. <i>Jasiński.</i>
KLOTYLD, siostrzenica pan- ny GERNANCE	JPa. <i>Żulińska.</i>

(Rzecz dzieje się o kilka mil od Paryża.)

K A Ź D Y
ZE SWEJ STRONY.

(Scena przedstawia ogród, w głębi mur, drzwi małe w środku, po obu stronach pawilony, w których drzwi i okna są na prost widzów. Kwiaty w doniczkach, ławeczki ogrodowe pod oknami pawilonów)

SCENA I.

HENRYK. *(sam, wchodząc drzwiami w murze będącemi)*

Nakoniec po dziesięciu dniach oblężenia jestem tu; dziesięć dni, możnaby powiedzieć

15*

że to jest forteca niedobyta, ale Klotylda
broniła jej z takim wdziękiem... Jednakże
znalazłszy drzwi otwarte, korzystam z tego...

ŚPIEW NR 1.

Jeżeli kochanek zbyt śmiały,
Klotyldzie się nie podoba,
Powiem, poznaj me zapaly,
W tej odwadze jest ich proba.
Jeżeli trwozę zbytnią czuje,
By ukoić troski wsczęte,
Powiem: gdy tu się znajduję
Trzymaj twoje drzwi zamknięte.

Co za szkoda, że mój wuj poróżnił się
z panną Gernance. To sąsiedztwo mogłoby
dopomóc mojej miłości. Przed dziesięcio
dniami odjeżdżając do Paryża, dla ukończe-
nia procesu, poleca mi jak najuroczyściej, a-
bym się nie zbliżał do tego domu. Przypa-
dek mię tu sprowadził; wiemy bowiem, że nas
najczęściej przypadki prowadzą do tego co
nam zakazane, i przechodząc blisko muru
słyszę głos prześliczny; spostrzegam młodą
osobę, zachwycającą, na nieszczęście siostrze-
nicę tej panny Gernance; cóżby mój wuj

powiedział, że ja pomimo zakazu, wemknąłem się tutaj skrycie? Ale znam go, kiedy mówi: „nie masz dla ciebie przebaczenia!” już przebaczył zupełnie. Ktoś idzie, schrońmy się w tym pawilonie.” (*wchodzi do pawilonu po prawej widzów*)

SCENA II.

PANNA GERNANCE, KLOTYLDA. (*wchodzą głębią*)

K L O T Y L D A.

Zamknij dobrze drzwi moja ciotko, czy na dwa spusty zamknęłaś?

P. G E R N A N C E.

Wiesz dobrze, że nigdy o tem nie zapominał. (*zamknęła drzwi i wzięła klucze*)

K L O L Y L D A

Mówiłaś tedy moja ciociu, że ten piękny dom po drugiej stronie rzeki będący?..

P. G E R N A N C E.

Jest mieszkaniem byłego wojskowego, pana de Valmont.

K L O T Y L D A.

Gdyby był grzecznym, powinienby przecieź odwiedzić swoje sąsiadki; wojskowi

bywają tak uprzejmi; ale prawda, że to były wojskowy, już dla niego minął zapewne czas...

P. GERNANCE.

Co pannie do tego, czy grzeczny czy nie grzeczny; a potem rzeka nas przedziela.

KLOTYLD A.

Tak rzekę; a 20 kroków poniżej jest most.

P. GERNANCE.

Most, panna wszystko już widziała... kiedyż to...

KLOTYLD A.

Z okna go widzieć można...

P. GERNANCE.

Mniejsza o to... moje dziecię muszę ci prawdę powiedzieć. Pan Valmont... jest... poróżniłam się z panem Valmont; prócz tego wiesz o mojem postanowieniu: nikt z mężczyzn nie przestąpi progu tych drzwiczek, dopóki za mąż nie pójdziesz.

KLOTYLD A.

Ciekawa jestem jak ja za mąż pójdę? któryż wejdzie mój przyszły?

P. GERNANCE.

Pomyślemy o tém.

KLOTYLD A.

Ale ciocia coś bardzo długo myśli, mnie

się zdaje, że nie bardzo dobrze zbyt długo zastanawiać się nad małżeństwem; bo bywają zdarzenia, że róża opadnie nim się ją zerwie.

P. GERNANCE.

Mościa panno, rozumiem te przycinki, zapominasz o winnym dla mnie uszanowaniu.

KLOTYLDA.

Ale bo...

P. GERNANCE.

Cicho!... krótko mówiąc jesteś jeszcze za młoda.

KLOTYLDA.

Jeszcze młodsze odemnie są już dawno za mężem. A potem mówiono mi w Paryżu, że mój wiek najstosowniejszy do małżeństwa.

P. GERNANCE.

Bądź spokojną Klotylde, wiesz jak cię kocham; wszystko co czynię, to dla twojego szczęścia.

KLOTYLDA.

Dziękuję ci moja ciotko.

P. GERNANCE.

Przekonasz się o tem później moje dziecię.

KLOTYLDA.

Dobrze kochana ciotciu, ale żeby nie zbyt późno, to później było.

P. GERNANCE.

No, no, twoja pomyślność ciągle mię zajmuje; ale i ty staraj się dopomagać mi.

K L O T Y L D A:

Najchętniej, cóż mam czynić?

P. G E R N A N C E.

Przyrzecz mi, że natychmiast mię uwiadomisz, gdyby kiedy jaki młody trzpiot, usłyszawszy cię śpiewającą, albo spostrzegłszy na przechadzce, ukazał się u tych drzwi.

K L O T Y L D A.

Przyrzekam ci to kochana ciociu. (n. s.) Henryk nie jest trzpiotem, on mi to nie raz powiedział.

P. G E R N A N C E.

Wierz mi moje dziecię, nie ufaj twojemu sercu. Piękność jest chwilową ozdobą, cnota wszystkim; i lubo honor jęj strażą, często jednak miłość zwycięstwo nad nią odnosi. Z pokorą zaczynają od zajęcia serca kobiety, a gdy już raz wziętem zostanie, i straż na nic się nie przyda.

K L O T Y L D A.

Bądź spokojną moja ciotko, pójdę za twojemi radami. Zaufaj mojej przezorności, nie będę miała dla ciebie nic skrytego; przyrzekam ci kochana ciotko, że do tych miejsc kochanek nigdy nie wejdzie. (n. s.) Henryk bywa za murem ogrodowym.

P. GERNANCE.

Wracam do mojego pokoju.

KLOTYLDA.

A ja popolewam kwiaty; ale gdzież jest polewaczka?

P. GERNANCE. (*wskazując pawilon po prawej*)

W tym pawilonie.

KLOTYLDA.

Pójdę po nią. (*chce wejść, spostrzega Henryka i wydaje krzyk*) Ha! (*zamyka drzwi*)

P. GERNANCE.

Cóż ci to moje dziecię?

KLOTYLDA.

Nic, moja ciotko.

P. GERNANCE.

Dla czegożesz krzyknęła?

KLOTYLDA.

W tym pawilonie tak ciemno, że nic widzieć nie można...

P. GERNANCE.

Czyliż się nigdy nie uleczysz ztej próżnej obawy? śmieszna, cóż cię ciemność obchodzić może?

KLOTYLDA.

Ale bo zdawało mi się, że widziałam....

P. GERNANCE.

Polewaczkę?

K L O T Y L D A.

Nie, coś innego...

P. G E R N A N C E.

A dopiero mówiłaś, że nic widzieć nie można... otóż strach dziecinny. Będę korzystała z tej okoliczności; aby cię przekonać że twoja obawa jest bezzasadną.. idź mi zaraz po polewaczkę!

K L O T Y L D A.

Moja ciotko, ja.. nie pójdę.

P. G E R N A N C E.

A to co się znaczy. I nie wstydzisz się, aby panna w twoim wieku lękała się ciemnego pokoju?..

K L O T Y L D A.

Ale bo w ciemnym pokoju, może być...

P. G E R N A N C E.

W ciemnym pokoju nic złego być nie może
Proszę iść ze mną, przekonam cię. (*chce wejść do pawilonu*)

K L O T Y L D A. (*wstrzymując ciotkę*)

Ciociu, ciociu....

P. G E R N A N C E.

Cóż takiego?

K L O T Y L D A. (*zastępując jej odedrzwi*)

Już się poprawię... pójdę sama., zostań ciotcia. (*wchodzi do pawilonu*)

P. GERNANCE.

A widzisz, nie lękaj się, nic cię nie zje przecie. (*gdy weszła Klotyllda, panna Gernance zamyka drzwi*) Zatrzymaj się tam czas niejaki.

KLOTYLDA. (*otwierając okno*)

Otwórz ciocia... proszę... już się nie boję...

P. GERNANCE. (*trzymając drzwi*)

Nie, nie, już ja wiem co czynię.

DWU-ŚPIEW, NRO 2.

KLOTYLDA.

Ab proszę na Boga

Na cóż srogość ta?

Otwórz ciociu droga...

P. GERNANCE.

Strach nauczkę ma.

KLOTYLDA.

Nieznośna zabawa,

Ukój twogę mą!

P. GERNANCE.

Czy jeszcze obawa?

Widzisz ciotkę twą.

KLOTYLDA.

Choćbym ciebie ciociu miła,

Nie widziała przy mnie tuż;

Trwoga z serca ustąpiła,

Nie boję się już.

P. GERNANCE. (*otwierając drzwi*)
Uspokój się moje dziecię.. widzisz że nie-
ma strachów na świecie.

K L O T Y L D A.

Prawda, moja ciotko, odtąd już nigdy oba-
wiać się nie będę.

P. G E R N A N C E.

No, teraz popodlewaj twoje kwiaty, spiesz
się, i nie zapominaj że dziś masz mi jeszcze
odrysować deseń do sukni. (*odchodząc*) Bie-
dne dziecię, proszę, co to jest prózna trwoga,
ja nigdy się nie obawiałam ciemnego pokoju.

SCENA III.

KLOTYLDA, HENRYK.

KLOTYLDA. (*otwierając drzwi pawilonu*)

Jesteś pan wolnym, wychodź!

H E N R Y K.

Jakże pani chcesz żebyś wyszedł, kiedy
drzwi zamknięte, jeszcze na dwa spusty?

K L O T Y L D A.

Co mi do tego. Proszę wyjść.

H E N R Y K.

A więc przez mur...

K L O T Y L D A.

Przez mur! (*n. s.*) może się skaléczyć. (*gło-
śno*) Nie, tego nie chcę, na to nie pozwolę.

H E N R Y K:

Droga Klotyldo, jedno słowo...

K L O T Y L D A.

Dobrze, słucham; ale pod warunkiem, że
nie będzie wzmianki o twojej miłości.

H E N R Y K.

Przyrzekam ci. O mojej miłości ani wzmian-
ki, ale ty Klotyldo, kochaszże mię zawsze?

K L O T Y L D A.

Tak, Kocham; ale od jutra już cię kochać
nie będę.

SPIEW NRO 3.

Ród mężczyzn, mówią, niestały,

Tę smutną prawdę zbyt czuję;

Naszą winą ich błąd cały,

Bo ich dobroć kobiet psuje.

Będą daleko lepszemi,

Nawet wierności przykładem,

Gdy kobiety mówiąc z niemi:

W gniewie, moim pójdą śladem.

(śpiewając wiersz ostatni, podaje mu rękę)

H E N R Y K.

Droga Klotyldo, więc kochasz mię jeszcze?

K L O T Y L D A.

Tak, ale nie ufaj temu zbyt; bo ja

wiem że z wami panowie nie należy być bardzo dobrą.

P. GERNANCE. (*za sceną*)

Klotyldo, Klotyldo!

K L O T Y L D A.

Boże, ciotka mię woła!

H E N R Y K.

Co tu czynić?

K L O T Y L D A.

Wejdz do tego pawilonu, okno zamknijte, ukryj się wgłębi, choćby moja ciotka przypadkiem do niego zajrzała, to cię nie zobaczy.

HENRYK. (*idąc do pawilonu*)

Droga Klotyldo!

K L O T Y L D A.

Droga, droga, prędzej bo jakby cię tutaj ciocia zobaczyła, usłyszałabym co innego. (*gdy Henryk wejdzie*) Oh ileż trosk w miłości!

SCENA IV.

PANNA GERNANCE, KLOTYLDA, HENRYK.

(*w pawilonie*)

P. G E R N A N C E.

Klotyldo, idź do twojego pokoju, i zrób rysunek.....

K L O T Y L D A.

Czy zaraz moja ciotko? (*odchodzi pomalą,
a widząc że ciotka nie idzie za nią, zatrzy-
muje się w głębi.*)

G E R N A N C E.

Tak jest, (*n. s.*) z okna "postrzegłam pana
Valmont.

K L O T Y L D A.

Nie idziesz ze mną moja ciotko?

P. G E R N A N C E.

Nie..:

K L O T Y L D A.

Ale, bo...

P. G E R N A N C E.

No i cóż?.. przecież się nie obawiasz...

K L O T Y L D A.

Nie.. tylko...

P. G E R N A N C E.

Ale idźże, idź, czas upływa...

K L O T Y L D A.

Idę. (*odchodzi i wraca się*) Powiedz mi
przynajmniej moja ciotko, jak chcesz aby
ten deseń był zrobiony?

P. G E R N A N C E.

Jak ci się podoba.

K L O T Y L D A. (*chce wejść do pawilonu na prawo*)

P. G E R N A N C E.

Gdzie idziesz?

K L O T Y L D A.

Rysować.

P. G E R N A N C E.

Ale w pawilonie ciemno.

K L O T Y L D A.

Ciemno?

P. G E R N A N C E.

Tak, i nie można rysować.

K L O T Y L D A.

Ale może widno?

P. G E R N A N C E.

Dosyć tego, zaraz mi do pokoju.

KLOTYLDA. (*n. s.*)

Ona tu zostaje, biedny Henryk jakże się
wymknie. (*odchodzi*)

SCENA V.

P. GERNANCE, HENRYK. (*w pawilonie*)

P. G E R N A N C E.

Kochany Valmont, po dziesięciu dniach
niebytności z jakąż rozkoszą widzieć się bę-
dziemy. Umiałam zręcznie zataić wszystko i
nikt się nie domyśla naszej miłości. Wkrót-
co związek małżeński... teraz nie obawiam się
go wcale, i jestem pewną, że idąc za mąż
w 40 roku można nie ledwie przysiądz, że się

dotrzyma wiernie przysięg swoich. (*słychać lekkie pukanie do drzwi ogrodowych*) Otóż i on.. Klotylda poszła do pokoju, słyszeć nas nie może. (*otwiera drzwi, potem zamyka gdy wejdzie p. Valmont, i klucz wyjmuje*)

SCENA VI.

PANNA GERNANCE, VALMONT, HENRYK.

(*wpawilonie*)

SPIEW Nro 4.

V A L M O N T.

Wierny przysiędze, miłości,

Zawsze szczery, zawsze tkliwy,

Chociaż uie w pierwszej młodości,

Czułem w duszy ogień żywy.

Przy tobie jestem jak w niebie:

P. G E R N A N C E.

Choć przy mnie jesteś jak w niebie,

Długo czekać dasz na siebie.

V A L M O N T. .

Zbłądziłem, zmartwiłem ciebie;

Lecz gdy chwila zbyt szczęliwa,

Złączy nas w ślubne ogniwa,

Nie dam ci czekać na siebie.

P. GERNANCE.

Ale powiedz mi, cóż tak długo bawiłeś w Paryżu?

VALMONT.

Ukończyłem proces.

P. GERNANCE.

Ciesz się mię toż niewymownie, mówiłam ci zaraz, że twoja sprawa bardzo dobra.

VALMONT.

Prawda, ale nie powiedziałaś mi, że ją przegram.

P. GERNANCE.

Przegrałeś proces?

VALMONT.

Nadto skazany jestem na zapłacenie strat i kosztów.

GERNANCE.

Ale zapewne żartujesz z tego.

VALMONT.

W istocie, poniesiona strata, mało mię obchodzi, bo oto jest bardzo ważna przyczyna pociechy.

GERNANCE.

Cóż to za papier?

MONVAL.

To jest kontrakt.

GERNANCE.

Kontrakt.

V A L M O N T.

Któremu brakuje tylko nazwisk osób kontraktujących. A więc wpiszmy je.

P. G E R N A N C E.

Powtarzam ci: że dopóki Klotylda za mąż nie pójdzie... albowiem sama przyzwoitość nie pozwala aby ona i twój siostrzeniec mieszkali pod jednym dachem.

V A L M O N T

Po dokładném zglębieniu rzeczy zważywszy: że twoja Klotylda jest jeszcze dosyć młoda, i może poczekać, a ja ani ty nie mamy już czasu do czekania; zważywszy: iż podróż kształcą młodzież, i że mój siostrzeniec potrzebuje ukształcenia, skazujemy Henryka na zwiedzanie i przebieganie Europy aż do chwili pójścia za mąż Klotyldy.

P. G E R N A N C E.

Jakto, dla mnie chciałbyś oddalić twego siostrzeńca? nie zniosłabym tego nigdy.

V A L M O N T

Już postanowione, jutro wyjeżdża, a po jutrze będziesz panią de Valmont. Pewny jestem że on natychmiast wypełni moją wolę, chłopiec najrozsądniejszy, najposłuszniejszy. Kie-

dy przybył z Paryża, zakazałem mu zbliżać się do tego zamku, pod pozorem poróżnień między mną a tobą wynikłych, i jestem pewny żeś go nigdy nie widziała.

P. G E R N A N C E.

Gdyby tu przyszedł, wiedziałabym o tem, Klotylda wszystko mi powiada.

V A L M O N T.

Henryk ma tysiące zalet, gdyby nie dla zbliżenia się ku tobie, nigdy bym się z nim nie rozłączał. Prócz tego, mam pewny zamiar który tę podróż czyni konieczną; byłbym go natychmiast o tem uwiadomił, ale wyszedł na polowanie. Wielki miłośnik polowania i zręcznie strzela, żadna prawie zwierzyna mu nie ujdzie. Teraz wracam do siebie, pomówię z nim, przyspieszę jego wyjazd, a tem samem i nasze małżeństwo.

P. G E R N A N C E.

Oj będą też mówić o naszym związku..

V A L M O N T.

Cóż nam to szkodzi? niech mówią.. Ja tu nie widzę nic nadzwyczajnego. Prawda że nie młodziak, ale też i panna Gernauce już

kilka dziesiątków widziała, a zatem będzie to małżeństwo dobrane, przynajmniej w naszym związku oboje nie będziemy się zdrady obawiali.

KLOTYLDA. (*za sceną*)

Ciociu, ciociu!

P. GERNANCE.

Klotylda!

VALMONT.

Otośmy się złapali.. ucieknę.

P. GERNANCE.

Tu idzie, to cię zobaczy, a powiedziałam jej, że tu żonemu mężczyźnie wejść nie wolno.

VALMONT.

Możesz jej teraz dodać, że młodemu.

P. GERNANCE.

Lepiej wejdź na chwilę do tego pawilonu.

(*Valmont wchodzi do pawilonu na lewo*)

SCENA VII.

P. GERNANCE, KLOTYLDA, HENRYK.

VALMONT. (*dwaj ostatni w pawilonie*)

KLOTYLDA.

Ciociu, ciociu!

P. GERNANCE.

Czegóż chcesz?

K L O T Y L D A.

Przynoszę cioci robotę.

P. G E R N A N C E.

Dobrze; teraz wróć do pokoju.

K L O T Y L D A.

Brakuje mi jednego kwiatu do deseni,
chciałam go z natury wyrysować.

P. G E R N A N C E.

To urwij kwiat, i idź sobie.

K L O T Y L D A.

Na łodydze będzie piękniejszy.

P. G E R N A N C E.

To weź z doniazką.

K L O T Y L D A.

Za ciężkie ja nie udźwignę.

P. G E R N A N C E (*rozgniewana*)

Proszę mi być natychmiast posłuszną.

K L O T Y L D A. (*niby z płaczem*)

Ah moja ciociu, jeszcze cię nigdy nie wi-
działa tak rozgniewaną na mnie.

P. G E R N A N C E.

Boś nigdy nie była tak upartą.

K L O T Y L D A. (*n. s.*)

Mam do tego słuszne przyczyny.

P. G E R N A N C E.

No, rysujże więc ten kwiat, usiądź przy
tamtym pawilonie...

K L O T Y L D A.

Natychmiast go skończę moja ciotko. (*siedzi na ławeczce pod oknem pawilonu po prawej*)

P. GERNANCE (*do p. Valmont ukazującego się w oknie*)

Nie chcę na nią tak uporczywie nastawać, mogłaby się czegoś domyśleć.

V A L M O N T.

Daj jej pokój, mnie tu bardzo dobrze kiedy jestem tak blisko ciebie.

P. G E R N A N C E.

Cicho, żeby nie usłyszała.

(*Gernance i Valmont mówią do siebie cicho*)

HENRYK (*w oknie pawilonu*)

Droga Klotyldo!

K L O T Y L D A.

Cicho, moja ciotka jest tu....

P. GERNANCE (*siedząc przy oknie pawilonu po lewej, odwraca się do Klotyldy*)

Klotyldo, jakże idzie praca?

KLOTYLDA (*przesyła pocałowanie od ust Henrykowi*)

Bardzo dobrze.

Tom XI.

17

P. -G E R N A N C E.

Przekonałaś się tedy moja kochana Klotyldo, że można i tu bawić się dobrze i wesoło; nie tylko w Paryżu są uciechy.

K L O T Y L D A.

To prawda moja ciotko.

P. G E R N A N C E.

Częstokroć towarzystwo mężczyzn jest tak uprzykrzone...

K L O T Y L D A.

To prawda moja ciotko.

VALMONT (*do Gernance*)

Nie bardzo przyjemna pochwała.

K L O T Y L D A.

Co ciocia mówiła?

P. G E R N A N C E.

Że dla mężczyzn nie bardzo przyjemna pochwała.

HENRYK (*do Klotyldy*)

Kochana droga Klotyldo!

P. G E R N A N C E.

Co mówiłaś.

K L O T Y L D A.

Nie moja ciotku.

P. G E R N A N C E.

Nie ma jak kobiecie sam na sam.

K L O T Y L D A.

To prawda.

P. G E R N A N C E.

Tak jak teraz, jesteśmy bardzo szczęśliwe.

K L O T Y L D A.

Bardzo szczęśliwe.

P. GERNANCE (*którą Valmont pocałował
w rękę*)

Niech przykład twojej ciotki zawsze będzie wzorem dla ciebie.

KLOTYLDA (*którą Henryk całuje w rękę*)

Tak kochana ciociu zawsze cię naśladować pragnę.

P. GERNANCE.

Czy skończyłaś już ten kwiat?

KLOTYLDA.

Jeszcze nie moja ciociu.

P. GERNANCE (*cicho do Valmont*)

Trzeba być cierpliwym.

VALMONT (*cicho do p. Gernance*)

Zwłaszcza kiedy zamysłamy się żenić.

P. GERNANCE.

Pewno deseń będzie bardzo piękny, bo go długo robisz.

HENRYK (*cicho do Klotyldy*)

Czy pojmujesz ty całe moje szczęście?

KLOTYLDA (*z cicha do Henryka*)

Gdybym się tak nie obawiała... i gdyby cioci tu nie było.

P. GERNANCE (*do Valmonta*)

Widzę, że bardzo lubi ten rodzaj zatruc-

dnienia, dla tego też zawsze ją zachęcam.

VALMONT (*cicho*)

Bardzo dobrze czynisz.

P. GERNANCE.

Cóż Klotyldo, kwiat skończony?

KLOTYLDA.

Jeszcze tylko jeden cug ołówkiem.

P. GERNANCE.

To zawiele. (*wstając zapomina klucz na ławce, Valmont zamyka okno*)

KLOTYLDA. (*wyrywując rękę Henrykowi, który ją właśnie całował*)

Już koniec. (*Henryk zamyka okno*)

P. GERNANCE.

No to dobrze (*bierze desęć*) zobaczymy:

KLOTYLDA. (*n. s. postrzega klucz na ławeczce*)

Klucz od małych drzwiczek! ah, gdybym go mogła wziąć skrycie...

P. GERNANCE.

Prześlicznie, widac żeś czasu nie traciła, bardzo wypracowany.

KLOTYLDA.

Jesteś pobłażającą moja ciotko; ale prawdę żem ani chwili nie straciła.

P. GERNANCE. (*patrzac na desęć*)

Jednak zdaje mi się, że ten rys trochę za mocny.

KLOTYLDA (n. s.)

W tenczas mię Henryk pocałował. (*głośno*)
Ale on koniecznie potrzebny, żeby mógł wyjść...

P. GERNANCE.

Kto taki..,

KLOTYLDA.

Koloryt.. żeby się widoczniej, odcieniował.

P. GERNANCE (*patrzac w desen'*)

Prawda, ten kolor zielony bardzo pięknie
będzie można użyć, a więc już skończyłaś?

KLOTYLDA (*wziawszy klucz*)

Tak moja ciotko, skończyłam; (n. s.) już
tu nie mam nic do czynienia.

P. GERNANCE (*cicho do Valmont*)

Odchodzi.

KLOTYLDA

Nie idziesz moja ciotko?

P. GERNANCE.

Jeszcze nie.

KLOTYLDA.

Dziś w ogrodzie ciocia masz szczególniejsze upodobanie.

P. GERNANCE.

Proszę bez uwag mościa panno. (*odchodzi*)

SCENA VIII.

CIŻ, bez KLOTYLDY.

V A L M O N T.

Słuczne dziecko, i zgadzam się z tobą, że nie bardzo byłoby rozsądnie mieścić ich pod jednym dachem; czy mogę już wyjść?

P. G E R N A N C E.

Chwilę tylko... Klotylda mogłaby powrócić.. nie wiem gdzie się podział klucz od drzwi ogrodowych.

V A L M O N T,

Otóż jestem w więzieniu.

P. G E R N A N C E (*śmiejąc się*)

Widzę, że będziesz musiał przeleźć przez mur.

V A L M O N T.

Przeleźć, skakać przez mur ogrodowy! nie mówię jeszcze, gdyby dla widzenia ciebie, ale dla oddalenia się; nie do kroćset katów!...

P. G E R N A N C E.

Pan się śmiejesz... a klucza niema.

V A L M O N T:

Może go Klotylda wzięła.

P. G E R N A N C E.

Bydź może... mały trzpiot... bądź cierpliwy, pójdę do niej, i natychmiast wrócę. (*odchodzi.*)

SCENA IX.

VALMONT i HENRYK (*w oknach*)

VALMONT.

Szczerze mówiąc, śmieszne moje położenie... zamknięty...

HENRYK.

Czy ja tu jeszcze długo siedzieć będę.

VALMONT.

Gdyby się mój siostrzeniec dowiedział, że jego wuj lubo ma lat pięćdziesiąt, a jednak ubiega się jeszcze za awanturkami miłosnemi.

HENRYK.

Oto gdyby wuj zobaczył mię tu siedzącego...

VALMONT.

Żal mi go oddalić od siebie, lubo tak młody, a przecież posłuszny rozkazom wuja nie zbliżył się nawet do tego ogrodu.

HENRYK.

Wujaszek w Paryżu pewny swojego siostrzeńca... ani się domyśla, że Henryk zamknięty w tym ogrodzie do którego mu zbliżyć się zabronił.

VALMONT.

Panny Gernance coś nie widać. (*wygląda oknem*)

H E N R Y K,

Klotylda bawi tak długo... (*wygląda oknem*)

VALMONT, HENRYK.

Mój wuj! Mój siostrzeniec!

VALMONT (*po chwili wyszedłszy z pawilonu*)

Pójdźno mi tu zaraz paniczu,... (*Henryk wychodzi z pawilonu*) Powiedz no mi co ty tu porabiasz, wszakżem ei jak najuroczyściej zabraniał..

H E N R Y K.

Dla tego też przysięgam ci, mój wuju, żem się wcale nie spodziewał ciebie tutaj zobaczyć.

V A L M O N T.

Kiedym sądził, że pan siostrzeniec w zamku zajęty książkami...

H E N R Y K.

A ja myślałam, że mój wujaszek w Paryżu obarczony procesem...

VALMONT (*n. s.*)

Rozumiem co to znaczy, pewno do siostrzenicy się bierze.

HENRYK (*n. s.*)

Pewno ciocia zajechała mu w serduszko.

V A L M O N T.

Powiedz mi od jak dawna? kiedy? idla czego znajdujesz się tu mimo mojego zakazu?

H E N R Y K.

Ale jak się to dzieje, że wujaszka tu widzę pomimo nienawiści dla panny Gernance? Ja przynajmniej nikogo nie nienawidzę.

V A L M O N T (n. s.)

Tam do kata! muszę go zabić z tego tonu pewności.

H E N R Y K (n. s.)

Namyśla się... rozumiem.

V A L M O N T,

Mości panie siostrzeńcze, dowiedz się, że postanowiłem ożenić się.

H E N R Y K.

Bardzo chwalebne postanowienie, jesteś wujaszek na drodze zbawienia.

V A L M O N T.

Co mówisz?

H E N R Y K.

Że wujaszek bardzo słusznie czyni.

Spiew Nro. 5.

Dawniej gdy młodości chwile,

Nie jeden spędził zbyt szumnie,

W starości spadłszy na siłę,
W klasztorze kończył rozumnie.
Wuj młode spędziwszy lata,
W pośród uciech, zabaw świata,
W starości niechęć klasztoru,
Wziął się do żony wyboru:
I uczynił sprawiedliwie
Będzie żył już wstrzemięźliwie!

V A L M O N T.

Dosyć tych żartów. słuchaj mię, przegra-
łem proces.

H E N R Y K.

Byłem tego pewny.

V A L M O N T.

Proces ten pozbawia mię dziesięć tysięcy
liwrów rocznego dochodu, i jedyny środek
do zagładzenia uszczerbku mojego majątku
jest łożenie, dla tego też przybywszy tu
najpierw starałem się widzieć i pojednać
z panną Gernance.

H E N R Y K.

Przedziwnie mój wuju, panna Gernance ma
tysiące pięknych przymiotów, i chociaż już
na schyłku, ale jednakże przyjemna tkliwa...

V A L M O N T.

Dobrze mówisz, ciotka ma tysiące pięknych

przymiotów, dla tego też zaślubiam...siostrzenicę.

H E N R Y K.

Siostrzenicę!

V A M O N T.

Tak jest siostrzenicę, panna Gernance pozwała i jutro...

HENRYK (n. s.)

Byłbym przecie coś o tém wiedział. mój wuj mię zwodzi...

VALMONT (n. s.)

Jak zwięszany,

HENRYK (n.s.)

Za raz odkryję prawdę.

V A L M O N T.

Cóż mój Henryku? czy moja narzeczona zdaje ci się być za młodą, czy nie pochwalasz mojego wyboru? wszystko byłoby napróżno.

SPIEW Nro 6.

V A L M O N T.

Już rzecz cała ukończona.

H E N R Y K.

Zgadzam się z myślami twemi;
Bo młodziuchua piękna żona,
Największe dobro na ziemi,
Dla sterców źródło słodyczy,

Czuć mu roskosz życia da,
Im mniej latek żona liczy
Więcej mąż przyjaciół ma.

V A L M O N T (n. s.)

Przyjmuje to ze śmiechem, czyżbym się
omylił?

H E N R Y K.

Ale mój wuju mówisz mi o siostrzenicy, a
ja w tym domu widziałem tylko jedną Pan-
nę Gernance; ach może ona jeszcze jest na
pensji.

V A L M O N T

Jako? ty nieznasz jeszcze siostrzenicy? (z o-
bawą) Czy ty przypadkiem nie do panny Ger-
nance tu przyszedłeś?

H E N R Y K.

Mój wuju muszę ci wyznać wszystko, niepodob-
na mi dłużej ukrywać prawdę... panna Gernance
jest przedmiotem moich uczuć, myśli; ona
w tych miejscach mię zatrzymuje. (u. s.)
Nie kłamie bo ona drzwi na klucz zamknęła.

V A L M O N T (n. s.)

Tam do kroćset! to znów co innego; (gło-
sno) Więc ty kochasz się w pannie Gernance?

H E N R Y K.

Nie zdołasz sobie wyobrazić mój wuju u-
czuć...

V A L M O N T.

A panna Gernance czy kocha cię także?

H E N R Y K.

Tak jak odemnie kochana.

V A L M O N T (n. s.)

Teraz mię nie dziwi, że nie chciała zezwolić na jego wyjazd.

H E N R Y K.

/ Cóż mój wuju? czy moja narzeczona zdaje ci się być za starą, czy nie pochwalasz mojego wyboru?

V A L M O N T.

Dziwi mię tylko że mając lat 20, chcesz mi dać tak starą ciotkę za siostrzenicę.

H E N R Y K.

A ty mój wuju mając lat 50 chcesz mi dać tak młodą siostrzenicę za ciotkę. Tak, tak, jestem do szaleństwa rozkochany w pannie Gernance, a prócz tego jej majątek...

V A L M O N T.

Czy dawno się z nią widzisz?

H E N R Y K.

Od dziesięciu dni mój wuju.

V A L M O N T.

Dziesięć dni!... oświadczyłżeś jej swoją miłość?

H E N R Y K.

Nie mówiłem jej dotychczas nic o miłości...

V A L M O N T. (n. s.)

No to półbiedy jeszcze. (głośno) Słyszę kogós; ah to panna Gernance, zostań tu Henryku. (n. s.) zawstydzę zdrajczynię

H E N R Y K.

Jakto?

V A L M O N T.

Ani kroku z miejsca, czekaj na pannę Gernance.

H E N R Y K.

Ale mój wuju...

V A L M O N T.

Ani słowa! (wchodzi do pawilonu, i staje w oknie)

H E N R Y K.

O Nieba, zostawia mię tutaj, co ja powiem tej pannie Gernance, której nigdy w mojem życiu nie widziałem? (uwważając, że Valmont otworzył okno i zamysła podsłuchiwać) On będzie słuchał naszej rozmowy.. tak powiem: Panno Gernance, zginęliśmy, mój wuj wie o wszystkiem, o naszej miłości, udaj pa-

ni, że mię nie poznajesz, ja zmyślę miłość do twojej siostrzenicy...

V A L M O N T.

O nic dobrego! śliczną chce jej dać nauzkę! ale starego lisa nie tak łatwo złapać.

SCENA X.

P. GERNANCE, HENRYK, VALMONT.

(w pawilonie)

P. GERNANCE.

Nie pojmuję gdzie się ten klucz podział. (*sposstrzega Henryka*) Ah!

HENRYK.

Pani, przebacz mojej śmiałości!

P. GERNANCE.

Kto pan jesteś?

HENRYK.

Siostrzeniec pana Valmont jej sąsiada.

P. GERNANCE.

Jak Wpan śmiesz stawać w tych miejscach; po kłótni jaka zaszła między mną i jego wujem. (*n. s.*) Ah gdyby go zobaczył w pawilonie, co za zdarzenie!

VALMONT. (*do siebie*)

Pojętna, dobrze gra swoją rolę.

P. G E R N A N C E.

Czego tu pan chcesz?

VALMONT. (*j. w.*)

Mnie się zapytaj, to ci powiem.

H E N R Y K.

Mogę się ośmielić?...

P. G E R N A N C E.

(Cóż pana w te miejsca sprowadza?

VALMONT (*j. w.*)

Od dziesięciu dni jeszcze się nie domy-
śliła.

H E N R Y K.

Miłość.

P. G E R N A N C E.

Miłość?

VALMONT. (*j. w.*)

Niby to nie wie...

H E N R Y K.

Tak pani, uwielbiam twoją siostrzenicę.

P. G E R N A N C E.

Moją siostrzenicę?

VALMONT (*j. w.*)

To się dwoje dobrało.

P. G E R N A N C E,

Pewną jestem że Klotyllda, nie podziela
jego uczuć... a potem gdzie ją pan widzia-
łeś, jak się to stało?

ŚPIEW Nro 7.

H E N R Y K.

Prypadkiem jęj siostrzenica,
Miłość w sercu mym wzbudziła,
A dobroć co ją zaszczyca
Gardzić mną nie dozwoliła.
Kochamy się i cóż z tego?
Ja nie widzę nic w tym złęgo.

P. GERNANCE *(mówi)*

Jakto pan!

H E N R Y K.

Gniew twój pani jest zbyt srogi;
Gdyby też przypadkiem kiedy,
Mój wuj pani stał się drogi,
Ja z radością rzekłbym wtędy:
Kochają się i cóż z tego?
Ja nie widzę nic w tym złęgo.

P. GERNANCE.

Jakiż jest zamiar Wpana? zakochać się w dziewczynie bez doświadczenia?..

VALMONT. *(j. w.)*

Tak, lepiej weź doświadczoną, starą.

P. GERNANCE.

Chcesz ją zwięść, oszukać...

H E N R Y K.

Przeciwnie, chcę się z nią ożenić.

VALMONT. (*j. w.*)

Ożenić! trzymam go za słowo!

P. G E R N A N C E.

Czy pan sądzisz że twój wuj zezwoli? Prócz tego, Klotylda jest zbyt młoda.

VALMONT. (*wychodząc z pawilonu*)

Nic nie szkodzi. Pozwalam na to małżeństwo, i chcę natychmiast do skutku doprowadzić.

P. G E R N A N C E.

Wszystko się odkryło.

H E N R Y K.

Bez wyjaśnienia.

VALMONT. (*do siebie*)

Tom ich złapał. (*z cicha do panny Gernance*) Spodziewam się, że nie odmówisz twójgo zezwolenia; ono przyspieszy chwilę naszego związku. (*z cicha do Henryka*) Bądź posłusznym, albo cię wydziedziczę.

P. G E R N A N C E. (*cicho do Valmont*)

Ale mój przyjacielu....

H E N R Y K.

Ale mój wuju....

V A L M O N T.

Czy chcecie, czy nie chcecie?

P. G E R N A N C E.

Widzę że trzeba pozwolić.

H E N R Y K.

Posłuszeństwo jest moją powinnością.

VALMONT. (*do panny Gernance*)

Oto kontrakt, który nas miał połączyć; wpiszemy ich nazwiska, aby prędzej załatwić ten interes.

VALMONT. (*do Henryka*)

Podpisz to panie małzonku.

H E N R Y K.

Sam przyznaj mój wuju, czy znajdzie się gdzie posłuszniejszy siostrzeniec?...

P. G E R N A N C E.

Ależ należałoby przynajmniej poradzić się Klotyldy, nim ją za mąż wydamy.

V A L M O N T.

Poradziemy jej się potem, podpisz pani pierwiej.

P. G E R N A N C E. (*podpisawszy*)

Klotyldo, Klotyldo!

VALMONT (*n. s.*)

Podpisała; oto im figla wyrządziłem! oho, bo ze mną nie ma żartów!

SCENA XI.

KLOTYLDA GERNANCE, VALMONT I HENRYK.

KLOTYLDA) *wbiega, a postrzegłszy pana Valmont i Henryka)*

Ab!

P. GERNANCE.

Przybliż się mościa panno.

KLOTYLDA.

Ah moja ciociu, przebacz mi, ja tylko o jednym wiedziałam.

VALMONT.

Nie obawiaj się drugiego moje dziecię; pójdź tu bliżej i odpowiedz: czy chcesz iść za męża?

KLOTYLDA.

Jeżeli ciocia tak chce.

VALMONT.

Czy pójdziesz za tego pana?

KLOTYLDA.

Jeżeli ciocia tak chce.

VALMONT.

Podpisz kontrakt.

KLOTYLDA. (*podpisawszy*)

Jeżeli ciocia tak chce.

VALMONT.

Teraz uściskaj twój męża.

KLOTYLDA.

Jeżeli ciocia tak chce. (*ściska Henryka*)

VALMONT. (n. s.)

Ukarałem go należycie, wiem ile cierpi!
(śmiejąc się) Panno Gernance, teraz się już
nie sprzeciwia naszemu małżeństwu.

P. GERNANCE.

Zawrzemy go, kiedy tylko będziesz chciał
panie Valmont.

VALMONT.

A więc natychmiast! no mój siostrzeńcze,
czy cieszysz się?...

HENRYK:

Jestem najszczęśliwszym! Drogi wuju, na-
wet niechcący czynisz ludzi szczęśliwemi.

VALMONT.

Więc ty Klotyldę kochasz?

HENRYK.

Nad życie!

VALMONT.

Nic dobrego, zwiodłeś mię!

HENRYK.

Kochany wuju, szanuję cię zbyt wiele, abym
miał zostać twoim rywalem.

VALMONT.

Oh łotr, jakże mię podszedł!... ale mniej-
sza o to, nie mogę się gniewać, bo nakoniec
zaślubiam cię kochana sikorko moja.

P. G E R N A N C E.

Prawda, nie możemy się gniewać.

H E N R Y K.

Kochaliśmy się każdy ze swej strony, i mam nadzieję, że teraz będziemy szczęśliwi każdy ze swej strony.

Spiew Nr. 8

V A L M O N T.

Pewne małżeństwo sąsiedzi chwalili,

Żona to anioł, mąż z cnót był wielbiony,

{ Ale po roku sąsiedzi odkryli,

Że każde miało coś ze swojej strony.

H E N R Y K.

{ Każdy z swej strony ubiegał się śmieie,

Kiedy z kochanek chcieliśmy mieć żony;

'Teraz gdy chęci uwieńcza wesele,

Prosimy wszysecy, bądźcie z naszej strony.

K O N I E C.

ADOLF I JULJA

C Z Y L I

OSOBLIWSI WIĘŹNIE.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego

P. Marģollier

TEUMACZONA.

Muzyka J Pana Damse.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

w Marcu 1839 roku.

O S O B Y.

P. DE LIMBOURG	JP. <i>Szymanowski.</i>
ADOLF DE RUMBERG, inłody oficer	JP. <i>Jasiński.</i>
JULIA, jego żona	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
GASPARD, leśniczy	JP. <i>Panczykowski.</i>
Odźwierny	JP. <i>Hussakowski.</i>

(Rzecz dzieje się w zamku de Limbourg, o kilka mil od Berlina.)

ADOLF I JULJA

(Scena przedstawi salę gotycką; z prawej strony okno.)

SCENA I.

LIMBOURG, GASPARD.

LIMBOURG. (*w surducie wojskowym*)

Otóż mój stary zamek, aż dotąd spokojny pobyt przyjaźni, schadzka myśliwska sąsiadów, pewne schronienie ubóstwa i niewinności, przemieniony dziś na prośbę ministra w fortecę, w więzienie; ale powody i moje serce, wszystko mię skłania do spełnienia jego zamiarów; ty dopomożesz mi także mój kochany Gaspard.

G A S P A R D.

Ja panie?.. jakto?

Tom XI.

19

L I M B O U R G.

Stary kolego, potrzebuję twojej pomocy. Dziś rano jeszcze byłeś moim leśniczym; teraz, władzą moją wynoszę cię, mianuję.. Dozorcą więzienia, którego jestem kommandantem.

G A S P A R D.

Ale przecie nie na prawdę, bo ani pan, ani ja nie urodziliśmy się...

L I M B O U R G.

Nie, nie, powiedziałem ci też, że to żart którego cel podoba mi się, bo jest moralnym, dąży do zbliżenia do siebie dwojgalekomyślnych małżonków, nierozważnych, a jednak z dobrém sercem, których zabawy stołeczne, złe rady i kilku fałszywych przyjaciół sprowadziły z drogi prawej i w końcu możeby zupełnie zgubily.

G A S P A R D.

Ah dla takiej pobudki, podejmę się być czém tylko zełlicą; zmienię imię, ubiór.. wszystko uczynię dla pocziwój sprawy.

L I M B O U R G.

Poznaję cię, ale bądź ostrożnym aby pod postacią snrową którą masz przybrać, nie odkryto twojej tkliwej duszy.

G A S P A R D.

Będę się miarkował.

L I M B O U R G.

A potem, ten wyraz twarzy pełen szczerości, dobroci, trzeba zmienić w surcwy, gniewliwy...

G A S P A R D.

Tam do kata, trudna sprawa. Będę mówił nie patrząc na nich, bo gdybym zobaczył ich smutek, cierpienie, nadaremne obietnice, rzuciłbym rolę do djabła, a uściskałbym ich z radością. No, ale coż mamy czynić aby się przyłożyć do pojednania?

L I M B O U R G.

Dowiesz się; posłuchaj listu ministra który przed tygodniem odebrałem »Przyjacielu! »Mówiłem ci często o Julji, mojej siostrzenicy małej trzpiotce siedemnastoletniej, którą połączyłem z Adolfem de Runberg, lat 23 mającym, kochali się tkliwie i cieszyłem się z mojego wyboru. Niebezpieczne rady, kilka sprzeczności w charakterach, stały się powodem małych poróżnień, które w końcu sprowadziły isiotne zerwanie, bez rzeczywistego zarzutu ze stron obu... Mąż przychodzi do mnie z prośbą, abym umieścił żonę w klasztorze, a żona pragnęła

oddalenia męża, który bez przerwy jej się przeciwiał. Żadne z nich, jestem pewny, nie czuło tego w głębi serca, o co błagało z takim naleganiem; umyśliłem dać im naukę: udałem, że się przychyliam do ich słusznych żądań, w nadziei: że zdala od miasta, gdy nie będą mieli powodów poróżnienia, pod okiem światłego przyjaciela, uspokoją się, i serca na nowo miłość zapalą. Jedno podругim wyjedźcie godziną później i przybędą do ciebie d. 10. (*mówi*) dziś. Twojej roztropności powierzam powrócenie ich na łono rozsądku i szczęścia. Doniesiesz mi później, czy mogę mieć nadzieję, czy też trzeba ich zostawić smutnemu przeznaczeniu.»

G A S P A R D.

Ha, ha, zadziwią się nie mało, gdy odbędą tyle drogi i znowu się zobaczą ze sobą.. Chciałbym żeby już przybyli.

L I M B O U R G.

Wkrótce ich się spodziewam. Rozkazałem jednemu z moich ludzi, pilnować na starej wieży i odgłosem rogu uwiadomić mię o ich przybyciu; inni moi służący, będą udawać straż...

GASPARD (*śmiejąc się*)

Ah... więc wszyscy do tego należemy.

LIMBOURG.

Nawet moje dwie małe armaty, których dzięki Bogu nigdy nie używałem, dziś mogą także mieć swoją rolę.

GASPARD.

Tak, rozumiem... po obu stronach zwodzonych mostów,.. przedziwnie... a ja?...

LIMBOURG.

Ty, jesteś dozorcą... twój obowiązek pilnować jeńców, uważać ich, i zdawać mi wierne rachunek z tego wszystkiego, co by mogło zajść pomiędzy nimi, ale musisz się iść przygotować, zmienić ubiór; w mojem gabinecie znajdziesz wszystko co potrzeba.

GASPARD.

Będę godzien pochwały, jeżeli z honorem rzecz całą poprowadzę. (*słychać odgłos rogu*)

ŚPIEW NRO 1.

GASPARD.

Powóz jedzie tu z pośpiechem,

LIMBOURG.

To jedno z nich on lub ona,

Chociaż każde kłamstwo grzechem:

G A S P A R D. ,

Ręczę panu, że to zona
'Tłumoki, pakiety
Koszyk na koszyku,
I z tyłu i z przodu
Pudełek bez liku;
Ze powóz kobiety
'Trzebaż innego dowodu?

Zobaczysz pan, ma nadzieję
Wdziękiem zyskać względów prawo.

L I M B O U R G.

Za nadto dla nas łaskawą.
Nie srogości nie zachwieje!
Wyrok dla kobiet rzecz próżna,
Bo wszystkiego nie zabrania,
Wolność tylko odjąć można,
Nigdy chęci podobania.

G A S P A R D. (*mówi*)

Zapewne ją wprowadzą do tej sali; idę od-
dać się zupełnie mojemu powołaniu, pęk klu-
czy, halabarda... obejrzę zamki, rygle i przyj-
dę gdy mię pan komendant przywołać raczy.
(*wychodzi*)

L I M B O U R G.

Ciekawy jestem jakie wrażenie uczyni na

niej to mieszkanie, oddalę się cokolwiek i zastanowię, jaki ton mam przybrać w pierwszej z nią rozmowie. *(odchodzi)*

SCENA II.

JULJA, ŻOŁNIERZ.

JULJA. *(w ubiorze podróżnym wprowadzona przez jednego ze straży.)*

JULJA. *(do odźwiernego)*

Jako rozłączają mię z moją garderobianą... w istocie z żadną kobietą nie obchodzono się tak okrutnie! Gdzież jest pan komendant, pragnę z nim mówić?

ŻOŁNIERZ.

Poszli go uwiadomić o przybyciu pani.

JULJA.

Jakie ponure zamczysko.., Rzecz niepojęta, niepodobna do wiary... *(służący zdają się przynosić wszystko z rozpakowanego powozu i ustawiają w sali.)* Wtedy właśnie, kiedy proszę stryja o rozkaz przeciw mojemu tyranowi.., *(do służących)* Na stole położyć gitarę. *(mówi d. s.)* Ja sama... *(do służących)* noty

ostróżnie, żeby nie rozedrzeć... moje romanse..
(znowu do siebie) uwięziona... W moim wie-
 ku!... ah jakżem nieszczęśliwa!... *(do służących)*
 Dla Boga! pióra! zapewne połamane... oh bar-
 dzo nieszczęśliwa! *(służący odeszli)* Co za
 nierozwaga rodziców, żeby oddawać córkę
 młodzikowi... trzpiotowi... przyjemnemu to
 prawda, ale którego sposób myślenia... obej-
 ście, postępowanie..! i nie znalazła się ani je-
 dna litosna dusza, ani jedna przyjaciółka któ-
 raby mi wtenczas powiedziała... to co sobie
 teraz codziennie powtarzam.

ŚPIEW NR. 2.

Młode dziewczęta

Godne litości;

Gdy biorą pęta

W zamian miłości.

Ileż trosk zamęźcia

Za kilka chwil szczęścia!

Ten małżonek tkliwy zrazu,

Uległy, bez żadnych wad,

Wkrótce, nie znajdziesz wyrazu,

W jaki się przemieni gad.

Zazdrość, zdradę wnet rozwinię,

Bo zdrajcami wszyscy są,
Nie wiercie układnej minie,
Ciągłe powtarzajcie to:
Młode dziewczęta... (j. w.)
Taka ich дума ogarnia:
Ze ulegać każą nam,
Każdy mąż to jest męczarnia,
Przykładów tysiące dam.
Każdy nawet miłość tkliwą
Na swe rozkazy mieć chce,
Czy jest jedna tak szczęśliwą
Ze tego mówić nie śmie:
Młode dziewczęta. (j. w.)

SCENA III.

LIMBOURG, JULJA, ODŹWIERNY.

ODŹWIERNY.

Oto jest pan komendant. (wychodzi)

LIMBOURG.

Witam panią, poleciłem aby mię uwiadomiono jak tylko będziesz wysiadła z pojazdu; ale zatrudnienia, liczni więźnie pod moją.. przebacz... Jestem na jej rozkazy.

JULJA.

Ja to raczej jestem na twoje rozkazy pa-

nie komendancie, czekam bowiem...

L I M B O U R G.

Już ukończyłem... teraz zupełnie jej się oddaję... Niech zaniosą rzeczy pani do trzeciej izby w drugiej wieży, której okna wychodzą na wały Nr 107. (*do Julji*) Dosyć wygodna...

J U L J A.

Ale moja garderobiana...

L I M B O U R G.

Będziemy o niej pamiętali, rozkaz nie pozwala jej zostać przy pani; odeszliśmy ją natychmiast do stolicy. Zdaje się, że nie jest wolną od zarzutów, i że się obawiają, abyjej rady... Pani czy zamężna?

J U L J A.

Niestety; tak.

L I M B O U R G.

Mąż zapewne młody... przyjemny.

J U L J A.

Potwór, straszdytło!

L I M B O U R G.

Byłaś więc pani nieszczęśliwa?

J U L J A.

Nie możesz pan sobie wyobrazić do jakiego stopnia.

L I M B O U R G.

Może przeniewierzył się?... trudno temu dać
wiarę widząc panią.. gracz, rozpustnik?

J U L J A.

Wszystko, czém tylko być można!...

L I M B O U R G.

Jednakże uczciwy.

JULJA. (*prędko*)

Oh tak! oh co do tego... szczery, waleczny,
dobry dla wszystkich, tylko z żoną najgorzej
się obchodził.

L I M B O U R G. ;

Ah, to niegodnie.

J U L J A.

Nie prawdaż?

L I M B O U R G.

Tém bardziej, że wnosząc z tego co mi pa-
ni mówisz, i co mi napisano, wszystko domy-
ślać się każe, że to na jego usilne prośby mi-
nister wydał ten nieszczęsny rozkaz!..

J U L J A.

Jako! to mój mąż.. tak, tak, to on, jestem
pewna.. i poznaję go po tym czynie; nie cier-
piałam go, ale teraz...

LIMBOURG. (*ze śmiechem*)

Sądzę, że pani nie możesz nic więcej dla

niego uczynić. (*poważnie*) Zaluje pani szczerze, los jej bardzo mię zajmuje, widzę że mię zwiedziono przedstawiając cię pani jak^o kobietę lekkomyślną, płochą, gdy tymczasem jesteś tylko ofiarą niesprawiedliwości.

J U L J A.

Tak ofiarą... wyraz bardzo trafny! Ah co za niegodziwość! (*placze chwilę, potem zmieniając głos*) Trzeba jednakże uledz.. Powiedz mi pan... na czém tu czas przepędzają... lękam się abym nie umarła z nudów.

L I M B O U R G.

Dołożemy wszelkich starań, aby ją pocieszać w jej cierpieniu; naprzód przechadzka...

J U L J A (*zadowolona*)

Ah... spacerują...

L I M B O U R G.

Dwa razy na dzień.

J U L J A.

Zapewne po... (*wskazując na ogród*)

L I M B O U R G.

Po dziedzińcu.

J U L J A.

Po dziedzińcu?

L I M B O U R G.

Wzdłuż lub wszcz... do woli więźnia.

J U L J A.

Ah co za łaska! I cóż więcej...

L I M B O U R G.

Potem wraca się do izby, tam uspakajamy

się po przechadzce, 'można sobie czytać lub spać, do woli zostawione.

J U L J A.

Jako, można czytać lub spać? ah prawdziwie rozkoszne miejsce!.. a długo można przechadzać się?..

L I M B O U R G.

Dziesięć minut rano, dziesięć wieczorem.

J U L J A.

I zaraz potem?..

L I M B O U R G.

I zaraz potem do izby...

J U L J A.

Ah przedziwnie!.. i cały dzień spać lub czytać... więc to takie przyjemności są w zamku którego pan jesteś rządcą.

L I M B O U R G.

Oh nie wszystkim się to dozwala... ale...
(grzecznie) dla dam...

JULJA. (z gniewem)

Czy nie raczysz mię pan kazać zaprowadzić do mojego apartamentu?

LIMBOURG. (dobywając zegarek)

Natychmiast, możesz pani jednak mówić ze

Tom XI.

20

mną jeszcze pięć minut, jeżeli jej to przyjemnie.

JULJA. (*z ironją*)

W istocie.. bardzo.. ale lękam się nadużyć zabawy pierwszego dnia, chcę sobie oszczędzić przyjemności...

LIMBOURG.

Jak się pani podoba.. muszę więc przywołać dozorcę, odźwiernego, straż... (*daje znak żołnierzowi*) Czy przejścia dobrze strzeżone? garnizon pod bronią? most zwiedziony, armaty?

JULJA.

Czy to dla mnie te wszystkie przygotowania?.. ah panie komendancie proszę mniejszej ceremonji.. a jeżeli chcesz mię przestraszyć, upewniam pana, (*z grzecznością ironiczną*) że twarz jednego z tych panów jest dostateczną...

LIMBOURG. (*do żołnierza*)

Podziękuj pani... i odprowadź ją... (*słychać odgłos rogu*)

JULJA

Co to znaczy?

LIMBOURG.

Odgłos ten zapowiada przybycie więźnia,

którego oczekuję... za kwadrans najdalej już tu będzie..

J U L J A.

Więzień! szkoda wolałabym, żeby jaka towarzyszka...

L I M B O U R G.

Godzien litości, jeżeli prawda co mi piszą.

J U L J A.

Nieszczęśliwy!... już mię los jego zajmuje, czy można wiedzieć jak się nazywa.

L I M B O U R G.

Dowiesz się pani od niego samego; możesz czasem widywać się z nim.. podczas stołu na przykład; będę miał przyjemność widzieć panią u siebie, a jeżeli więzień zasługuje na to, zaproszę go dziś wieczór.

J U L J A.

Dziś wieczór!.. nie mogę się tak przedstawić, utrudzona podróżą!.. moja twarz..

L I M B O U R G.

Nie pokazuje tego upewniam, a potem (z *uśmiechem*) tu znika chęć podobania...

JULJA. (*prędko*)

To prawda, przyrzekam.... wszyscy mężczyźni są teraz dla mnie obrzydłemi istotami.. ale.... przestraszać nie trzeba.. i myślę, że (*wesoło*)

mała odmiana ubioru nie zaszkodzi, tylko inna suknia, inny kapelusz...

LIMBOURG. (*także wesóło*)

Inny kapelusz.. dobrze.

JULJA. (*żywo*)

Ah mam prześliczny!.. Czy prędko wieczera?

LIMBOURG.

Za dwie godziny.

JULJA.

Wybornie!. mam czas do małego przebrania się..

LIMBOURG.

Za dwie godziny.. tak ..

JULIA.

Ale, któż mi usłuży?...

LIMBOURG. (*wołając*)

Straż!

JULJA.

Jakto, żołnierz...

LIMBOURG. (*poważnie*)

Uwiadomić kobietę pod Nr. 203 będącą, aby usłużyła pani.. (*do Julji*) Będiesz pani zadowolona i chciej wierzyć, że wszystkie względy przynależne płci twojej z przyjemnością przyznane ci będą.

J U L J A.

Jesteś zacnym człowiekiem panie komendancie, litujesz się nad moją nieszczęściem.. biegnę do toalety.. a czy jest lustro?.. ah prawda mam dwa ze sobą. Żegnam pana. (*przy schodach*)
Czy tędy?

L I M B O U R G.

Tak jest.

J U L J A.

Ah co za schody!.. zgroza! nigdy nie wej-
dę....

L I M B O U R G.

Ale tylko dwie godziny do wieczery.

J U L J A.

Ah prawda, idźmy... (*ironicznie*) jeżeli wszystko odpowiada temu co widzę w tej chwili, możesz się poszczycić panie komendancie, że masz bardzo piękne mieszkanie.

SCENA IV.

LIMBOURG później GASPARD (*jako dozorca wię-
zienia*)

L I M B O U R G.

Co za głowa!.. nie dziwię się teraz jeżeli jej
mąż...

GASPARD. (*ciągnąc pana de Limbourg za rękaw przedstawia mu się.*)

A co czy pan kontent ze mnie!

L I M B O U R G.

Wybornie.. muszę ci oddać sprawiedliwość
przewyższyłeś moje oczekiwanie (z uśmiechem)
jesteś przestraszonym.

GASPARD. (*śmiejąc się*)

Pan mi pochlebia.. ale bez żartu, jestem o-
kropny; nie przybrałam jeszcze głosu, bo
zachowuję go do okoliczności. Co się ty-
cze nazwiska....

L I M B O U R G.

Musi być piękne, i do ubioru stosowne,
(szuka) Hac-ting-tir-koff-ter.

G A S P A R D.

Hac-ting-tir-koff-ter.. nauczę się... Mąż już
przyjechał, jest na odwachu.. u ogrodnika;
czeka tam, przyjemny człowiek., ładna para,
i szkoda byłoby gdyby się rozłączyli.

L I M B O U R G.

Idę po niego, i przyprowadzę tu (*odchodzi*)

SCENA V.

GASPARD. (*sam*)

Ah.. ha.. ba.. wyśmienicie, ich zadziwienie,
gniew, już mię naprzód śmieszy. Dalej panie
Hac-ting-tir-koff-ter.. pomyśl o twojej nowej
godności i staraj się zasłużyć na położoną uf.

ność. Jednakże nie wiem, ale, mimo ubioru, nie czuję w sobie potrzebnych usposobień, ta postać gniewliwa, głos surowy — to co się nazywa ozdobą w dozorcę więzienia... Oh! wszystko dobrze rozważywszy... ale śmiało, troszkę pracy, azbliżemy się może do talentu moich kolegów. Przybierzmy m inę nieubłaganą.. ha! Niech na mój głos wszystko drży.— Precz!.. Samo spojrzenie niech trwożą przejmuję.. Co! Jednak bardzo się cieszę że jestem tylko dla żartu dozorcą.

SPIEW NRO 3.

By zbliżyć małżonków dwoje,
 Których niezgód drażni władza;
 W więzienie pod klucze moje,
 Jeden rozkaz tu sprowadza.
 Gdyby brano przykład z tego,
 Jestem pewny że nie długo,
 Połowa rodu ludzkiego,
 Wkrótce by zamknęła drugą.

A jeżeli ich połączymy, rzucam moją hałbarcę, klucze, gniew, moje wasy, bo chciałbym być dozorcą, ale tylko do otwierania drzwi

wychodzącym. Otoż i pan komendant z wię-
źniem, dozorca powinien czekać, aż go przy-
wołają. *(wychodzi)*

SCENA VI.

ADOLF, LIMBOURG.

A D O L F.

Tak, tak, niezawodnie pomyłka i wkrótce
dowiesz się panie komendancie..

L I M B O U R G.

Jednakże tu wyraźnie napisano. Adolf de
Rumberg. Ale zastanów się pan, czy nie ma ja-
kich tajemnych powodów?. długi naprzykład.

A D O L F.

Długi!.. miałem wiele, ale popłaciłem.

L I M B O U R G.

Sprawa honorowa?..

A D O L F.

Miałem ich z dziesięć, ale szczęśliwie po-
kończone, bez najmniejszego zarzutu.

L I M B O U R G.

Może jaki złośliwy krewny?

A D O L F.

Po ostatnim niedawno wzięłem dziedzictwo.
Mógłby tylko stryj mojej żony, a minister
szanowany, czcigodny.. ale to niepodobna..
Lubił mię, jemu powierzałem moje cierpienia,

litował się nademną, przyrzekł mi nawet wydać rozkaz aby moją małżonkę....

L I M B O U R G.

Więc pan nie bardzo zgodnie z nią żyłeś?

A D O L F. (*pusto*)

Nie masz pan wyobrażenia.

L I M B O U R G.

Może nie piękna?...

A D O L F.

Najładniejsza kobieta z stolicy; z brzydką byłbym się nie ożenił. Połączono nas, nie wiem dla czego; kochaliśmy się jednakże, nawet uwielbiali; to trwało 6 miesięcy, byłoby trwało całe życie, gdyby to życie było tylko trwało 6 miesięcy; ale wkrótce dostrzegłem w mojej żonie sposób myślenia...

L I M B O U R G.

Wyniosły... uporeczywy...

A D O L F.

Nie, nie, piękny sposób myślenia, ale szczególnie, dziwaczny... a potem jej humor.

L I M B O U R G.

Cierpki.. złośliwy..

A D O L F.

Oh nie, nie... ale płochy.. pusty... zmienny co chwila, i który kiedy mówiłem z nią rozsądnie....

L I M B O U R G.

Ah! pan mówieś rozsądnie..!

ADOLF. (*nieco zadziwiony*)

Czasami.. pan zdajesz się żartować?

L I M B O U R G.

Bynajmniej; sądziłem tylko że w wieku naszym mówić rozsądnie, może się jej zdawało rzeczą dziwną, zapewne chciała tylko mówić o miłości.

A D O L F.

Nie panie, ona mię nie kochała.. nie słuchała mię wcale, sprzeciwiała mi się bezustannie. Zajęta balami zabawami, ubiorem, czasem przez cały dzień zostawiała mię samego; a jeżeli przemówiłem do jakiej ładnej twarzyczki, mogłem być pewny nagany, gniewała się jeżeli ją chwalił; a sama z przyjemnością zdawała się słuchać grzeczności i niedowarzonych dowcipów młodzieży. Nakoniec czy uwierzysz pan, w końcu oświadczyła mi, iż chce osobnych pokoi.. Tak jest.. osobnych, i od tej chwili... (*mówi do ucha*) Co mówię jest istotną prawdą.

L I M B O U R G.

Ah okropnie! kiedy tak, niema czego żałować

takiej kobiety, wszystko w niej było połączone, złość, zalotność a może jeszcze...

A D O L F.

Nie! oh nie... Trzeba jej oddać sprawiedliwość; nigdy nie nagannego nie dostrzegłem w jej postępowaniu.

L I M B O U R G.

Jednakże nie możesz pan żyć dłużej z tą kobietą i zawsze nie mała korzyść żeś z nią rozłączony.

A D O L F.

Tak, to jest pewien rodzaj pociechy; (*śmiejąc się*) jednakże byłoby lepiej, żeby ją był tu przywięzli, a ja żebym został w stolicy.

L I M B O U R G.

Rozumiem; ale pociesz się... Napiszę do ministra, doniosę mu o wszystkim,

A L F O N S.

Mocno obowiazany.

L I M B O U R G.

A nawet mam nadzieję, że twoja żona zajmie w krótkie twoje miejsce.

A D O L F.

Ah toby było wybornie, żeby się pod kluzę dostała!

L I M B O U R G.

Tym czasem masz pan tu wazelkę wolności,

ogród wielki, świeżość cienia... Prócz tego towarzystwo dobrane; między innymi młoda, miłuchna osoba, która dziś przybyła.

A D O L F.

Młoda mówisz pan, czy ładna?

LIMBOURG. (z znaczeniem)

Bardzo dobra, bardzo tkliwa...

A D O L F.

Przedziwnie, biedna istota! Pewnie mąż zazdrosny?..

L I M B O U R G.

Tak, tak.

A D O L F.

Głupiec, chcieć swoją żonę... prawda, że głupi?

L I M B O U R G.

Później sam się pan o tym przekonasz. Zobaczysz ją, przyjdzie tu...

A D O L F.

Wkrótce?.. ah będę bardzo szczęśliwy... poznać ją...

L I M B O U R G.

Spodziewam się, że pan nie zapomnisz o winnem uszanowaniu dla płci pięknej; a prócz tego jesteś tak zmartwiony, nieszczęśliwy, rozsądny...

A D O L F.

Oh tak, nawet za wiele... jeszcze jej nie widać.. nie dla tego żebym chciał jak najprędzej...

L I M B O U R G.

Oh ja to widzę, i przebacz mi pan, obowiązki mię wzywają, zostawiam go, a jeżeli ta dama przyjdzie, raczysz z nią pozostać aż do kolacji.

A D O L F.

Z całego serca. (*Limbourg wychodzi*)

SCENA VII.

ADOLF. (*sam*)

Ładna kobieta!.. otóż osłoda mojej niewoli.. Czuję się teraz szczególniejszym usposobionym do rozpoczęcia intrygi miłosnej, romansu;

ŚPIEW NR 4.

Zobaczę cię miła,

Twarz pełna uroku,

Wnet przyjaźni siła

Łzę osuszy w oku!

Sprawiedliwość jawna Nieba,

Ono zsyła błogi dar,

Pocieszmy nam w ten czas trzeba,
Gdy nas dotknie grotem kar.

Kiedy jedna zdradza
Zasępiając czoła,

Druga dni osładza,

Jak tchnienie Anioła.

Ah na myśl tę

Ze smutku drwię,

Gdy pomyślę że:

Zobaczę cię miła... (j. w.)

Już widzę jej postać cudną,

Czarne oko, włosów splot,

Wdzięki jakich znaleźć trudno,

I dowcipu zręczny zwrot.

Już widzę jak skromnie

Oczki w ziemię schyla,

Jak zbliża się do mnie

I wdzięcznie przymiła..

Ah na myśl tę,

Ze smutku drwię,

Gdy pomyślę, że: (j. w.)

Słyszę szelest jej sukni,.. jakaż rokosz!

Widzę ją, odwróciła się, wydaje jakiś rozkaz, postać mierna ale prześliczna.. podniosła rękę; jaka białość!. co za paluszki.. wistocie ta kobieta musi być bardzo nieszczęśliwą, muszę ją pocieszyć, muszę ją przekonać, że ten mąż nie wart posiadać takiego skarbu takiego anioła; ch już idzie. czekajmy...

SCENA VIII.

ADOLF, JULJA.

JULJA.

Zobaczę więc tego więźnia.. Boże!

ADOLF.

Czy podobna!

JULJA.

'To on!

ADOLF.

Moja żona!

JULJA.

Jakto! to pan!

ADOLF.

Ah to pani dobrodzika!

JULJA.

Pan zapewne przyjechałeś tu, aby się cieszyć mojem cierpieniem, najgrawać z mojej bcleści.

A D O L F.

Przyjechałem tu, ponieważ jestem uwięziony...

JULJA. (*wesoło*)

Uwięziony! przedziwnie... i ze mną podobnie postąpiono; zapewne dla tego, iż w dobrem małżeństwie wszystko wspólnem być powinno, nawet uwięzienie.

ADOLF. (*z gniewem*)

A jednakże chciałbym wiedzieć, komu winienem tę przysługę.

J U L J A.

Ah! ja panu powiem... Tę przysługę winienes pan... (*śmieje się i z ukłonem*) Mnie.

A D O L F.

Pani! dziękuję po tysiąc krotnie.

J U L J A.

Oh pan jesteś zbyt grzecznym, co się mnie tycze, nie potrzebuję pytać kto jest ta uprzejma osoba która raczyła...

ADOLF. (*złośliwie*)

Zawstydzasz mię pani... Tak jest, ja chciałem pani sprawić małą przyjemność...

JULJA. (*w gniewie*)

Pan śmiejesz się! A wiesz że to jest niegodny postępck.

ADOLF. (*śmiejąc się*)

Pani zapewne o swoim wspominasz?

JULJA.

I jestem tak rozgniewana!..nie żartuję, wcale nie żartuję, i na dowód wyznaję: że jedy-
ną osłodą w mojem nieszczęściu było...

ADOLF.

Że nie jesteś przy mnie?

JULJA.

Przebacz pan, jeżeli powiem, że prawdę
powiedziałeś; ale tu nie jesteśmy dla tego, a-
by sobie pochlebiać.

ADOLF. (*z żywością*)

Proszę mówić śmiało. Co pani myślałaś,
ja otwarcie na samym wstępie powiedziałem
już komendantowi!...Ah, zawołałem, przynaj-
mniej (*z przesadą i z mocą*) będę żył spokoj-
niejszy, nie będę jej widział!

JULJA. (*urazona*)

A więc pan w dwóch słowach skreśliłeś
mu moją pochwałę?

ADOLF. (*z ironją*)

Kiedy jesteśmy oddaleni od ukochanych o-
sób, mówić o nich jest słodyczą.

JULJA. (*podobnie*)

Poznałam ją.. bo powiedziałem mu także wiele dobrego o tobie.

ADOLF. (*urazony*)

Byłem w dobrych rękach...Jeżeli pani ztąd wyjdzie, czy będziesz się widzieć z tym wyświeżonym modnisiem?

J U L J A.

A pan czy wrócisz do swojej ulubionéj?

ADOLF. (*urazony*)

Jak tylko wolnym będę.

JULJA. (*j. w.*)

Przyjmować go będę codzień.

ADOLF. (*z gniewem*)

Ależ wielbiciel pani jest bez rozumu.

JULJA. (*podobnie*)

A pańska ulubiona jest impertynentka.

A D O L F.

Lubię niezmiernie impertynentki.

J U L J A.

A ja przepadam za bezrozumnemi.

ADOLF. (*n. s.*)

Nie, nie można żyć z tą kobietą!

J U L J A.

Tak nieznośny jak w domu! (*milczenie*)

G A S P A R D.

Nie lubię jednego powtarzać. Zostaniecie tu, dopóki pan komendant...

JULJA. *(placze ze złości)*

Ah, nieludzkość, okrucieństwo! Boże! Boże! kiedy nie można..

ADOLF. *(n. s.)*

Żeby mię dobić... *(głośno)* No, no, wiem że nie jesteś tak złym jak się wydajesz.

G A S P A R D. *(n. s.)*

Możnaby powiedzieć że mię zna.

A D O L F.

I pozwolisz mi wrócić. *(dobywa woreczek)*

G A S P A R D.

Jestem nieporuszony.

J U L J A.

Prosić cię będę dopóty, aż mi pozwolisz.

G A S P A R D.

Jestem nieubłagany.

A D O L F.

Więc nie ma z tobą sposobu?

G A S P A R D.

Tylko być mi posłusznym, i nienawidzić mię, jeżeli to sprawi przyjemność.

A D O L F.

Dziękuję za pozwolenie, będę korzystał..

A D O L F.

Albo ta garderobiana której cierpieć nie mogę.

JULJA. (*złościwie*)

Najlepsza doskonała! ani na krok mię nie odstąpi! A pańska psiarnia, koni dwadzieścia...

A D O L F.

Kupię czterdzieści.

JULJA. (*n. s.*)

Dłużej zniesć niepodobna!

A D O L F. (*n. s.*)

Co za kobieta! zostawmy ją!

J U L J A.

Idźmy.

SCENA IX.

CIŻ i GASPARD.

GASPARD. (*niepozwalając wyjść*)

Nie wolno wychodzić.

J U L J A.

Jaka twarz straszliwa! Co, nie wolno odejść do swojej izby?

G A S P A R D. ,

Nie, jeszcze nie czas.

A D O L F.

Ale ja mogę przecie...

JULJA. (*z gniewem*)

Ja przynajmniej nie czekałam twójego roz-
zu, i za pierwszym na ciebie spojrzeniem...

G A S P A R D.

Dobrze.. (*milczenie*)

A D O L F.

Panie dozorczo.

G A S P A R D.

Nie odpowiadam.

J U L J A.

Przynajmniej to zyskamy.

G A S P A R D.

I wracam na moje stanowisko. (*odchodzi*)

A D O L F.

Co za uprzejmość, odchodzi... Przebrzydły
człowiek!...

SCENA X.

ADOLF I JULJA.

A D O L F.

Przyjemnie, musimy więc zostać...

J U L J A.

Nie podoba się panu. (*śmiejąc się*) To mię
cieszy.

A D O L F.

Co za charakter!

JULJA. (*naśladując gruby głos Gasparda*)
Nie odpowiadam.

A D O L F.

Jak znieść?

JULJA. (*j. w.*)

I wracam na moje stanowisko!

ADOLF. (*z przeciwnéj strony*)

Szczęściem mam książkę.

JULJA. (*chcąc otworzyć pudło od gitary*)

Piękna sposobność zostać uczonym; wiele jeszcze powinieneś się uczyć.

ADOLF, (*urazony*)

Przynajmniej nie od pani.

J U L J A.

Gdybym chciała sobie zadać pracę. (*śmiejąc się*) ah, otóż masz, zgubiłam kluczyk!

A D O L F.

Kiedy kto ma tak dobrą głowę...

J U L J A.

Nie mówmy o głowie, bo porzuciwszy grzeczności, możebym nie znalazła lepszej
Ah! otóż ucwa piosneczka, zupełnie nowa.
(*n. s.*) Zdaje się że mię nie słucha. (*głośno*)

którą strapiona kobieta śpiewała na osłode
cierpień, których mąż jej... (n. s.) patrzy na mnie
z pod oka. (głośno) stał się sprawcą, (n. s.)
podnosi głowę. (głośno) przez całe życie. (n. s.)
uderzył nogą...

SPIEW NRO 5.

Małżonek dobry, i tkliwy,
Słodził dawniej moje dni,
Dziś niewdzięczny, zdradliwy,
Każdą chwilę smutkiem cmi.
Mężczyzni, nic was nie wzruszy,
Każda z nas przed wami drży
Gdy najlepszy, mówię z duszy:
(wesolo, zmieniając ton)
Nie wart jednej naszej łzy.

(n. s) Słucha, bo nie przewrócił karty...

ALFONS. (urazony, patrząc ciągle wksiąż-
kę)

Więc niema ani jednego męża...

J U L J A.

Ani jednego!.. nie wyłączam nikogo.

A D O L F.

Grzeczność!

(252)

J U L J A.

I prawda,

A D O L F.

Czytajmy.

J U L J A.

Spiewajmy. (*niby z prawdą*) Dla Boga! czy-
liż go obraziłam!... poprawmy nasz błąd!

Trzeba przebaczyć miłości
Nie jeden pustoty czyn,
Choć związek w swojej świętości,
Nie pozwala takich win.
Uległość życie umili,
Serce tobą tylko tchnie..

(*zbliża się, Adolf obraca się cokolwiek ku
niej*)

Rozkaż tylko, a w tej chwili....

(*zmieniając ton*)

Ja wykonam to co chcę.

A D O L F. (*n. s.*)

To za wiele.. (*głośno*) Pani... (*d. s.*) Niech
niema tej pociechy, że mię dotknąć umiała

J U L J A.

Zdawało mi się, żeś mię wołał.

A D O L F.

Nie, ja czytam. Ale uważałem, że pani śpie-
wać przestałaś...

JULJA. (z uśmiechem i niejako przyjmując to za pochlebstwo)

I sądziłeś pan?...

ADOLF. (miał pierwsze wyrazy)

I sądziłem... że będę mógł spokojniej czytać...
(odwraca kilka kart, nie czytając)

J U L J A.

Bardzo uprzejmie!

A D O L F.

Bardzo... bardzo... (odwraca się prędko na krześle) Ale, na koniec chciałbym wiedzieć jak pani postąpiłaś sobie, aby otrzymać rozkaz który mię...

JULJA. (podobnie)

I ja również chciałabym poznać sposób, jakiego pan użyłeś...

ADOLF. (prędko)

Bardzo prosty... poszedłem do twojego stryja...

J U L J A.

I ja się do niego udałam.

A D O L F.

Siedziemy tak daleko, że krzyżeć potrzeba.

J U L J A.

A więc się pan przysuń.

A D O L F.

Słusznie (*oboje biorą krzesła i siadają blisko siebie*) Mówiłaś więc..

JULJA. (*patrząc na niego*)

Ah... tak teraz nosisz włosy?..

A D O L F.

Tak; czy mi do twarzy?

J U L J A.

Daleko lepiej.

A D O L F.

Ten ubior wiele ci wdzięków dodaje.

J U L J A

Doprawdy?... Byłeś więc u mojego stryja..
i powiedziałaś mu.?

A D O L F. (*wesoło*)

Okropnie wiele złego na ciebie.

J U L J A.

(*o*) którem nie myślałeś.

A D O L F.

Przebacz mi, brzydzę się kłamstwem. A ty
co mu też o mnie powiedziałaś?..

JULJA. (*wesoło*)

Ze jesteś szkaradny, żeś sprawcą mojego
nieszczęścia..

A D O L F.

Ah przesadziłaś!...

J U L J A.

Przeciwnie je stem równie szczerą jak pan;
nawet zapewniłam go, bo byłam w ten dzień
najmocniej rozgniewaną, zapewniłam go: że
cię nie nawidzę.

ADOLF. (*wesoło*)

Nie nawidzę.. cokolwiek za wiele!.. ja tylko
wspomniałem o antypatji.

J U L J A.

I to się nie zmeniło?

A D O L F.

Nie, przeciwnie.

JULJA. (*oddalając się*)

Zegnam pana.

ADOLF. (*podobnie*)

Zegnam. (*milczenie*) Z temi wszystkiem je-
steśmy skazani na codzienne widywanie się...

JULJA. (*wzdychając*)

Niestety!

A D O L F.

To może trwać...

J U L J A.

Całe życie.

ADOLF. (*odwracając ku niej głowę*)

I gdybyśmy się ciągle kłócili...

JULJA. (*podobnie*)

Nasz los byłby smutniejszym.

A D O L F.

Oh czuję, (*milczenie*) Moglibyśmy żyć..
politycznie.

J U L J A.

Tak politycznie.

A D O L F.

Będziemy się widywać...

JULJA. (*prędko*)

Czasem przy stole.

A D O L F.

Na przechadzce.

J U L J A.

Jeszcze; ale nic więcej: Dzień dobry... do-
bry wieczór...

A D O L F.

Ma się rozumieć nic więcej.. (*prędko z tkli-
wością*) tylko, gdybyś była słabą..

J U L J A.

Ah gdyby ci się wydarzył jaki przypadek..

ADOLF. (*tkliwie, odwracając się od niej*)

Wtenczas...

JULJA. (*podobnież*)

Wtenczas..

ADOLF. (*przybliżając się*)

Przybliżamy się...

J U L J A.

Nie odstępujemy się...

ADOLF. (*prędko*)

Opowiadamy sobie nasze cierpienia...

JULJA. (*tkliwie*)

Ośladzamy one.. ale... (*z mocą*) To wszystko, na tém koniec.

A D O L F.

Tak na tém koniec.. Szkoda jednakże.. (*nieco dotknięty*) ale, jesteśmy panami naszych czynności, i nie można przymuszać ludzi, żeby się kochali mimo woli.

JULJA. (*wstając*)

Tak jest.. a więc panie Adolfie....?

A D O L F.

A więc pani..?

SPIEW, NRO 6.

A D O L F.

Nigdy miłości!

J U L J A.

Tak, nigdy miłości

A D O L F.

Przyśięgam!

J U L J A.

Przysięgam, choć nie ma na co.

R A Z E M.

Nigdy, nigdy miłości!

ADOLF. (*tagodniej*)

Lecz względów i życzliwości..

JULJA. (*podobnie*)

Tak względów i życzliwości..

ADOLF. (*tkliwiej*)

Czasem nawet zaufania!

JULJA. (*podobnie*)

Ah tego się nie zabrania.

ADOLF. (*żywo*)

Lecz się wzajemnie odpłacą.

J U L J A.

Te się nawzajem odpłacą.

OBOJE. (*wesoło*)

Zgodny traktat naprzód podpisuję.

ADOLF. (*mówi*)

Teraz pozwól mi pocałować...

J U L J A.

Co, pocałować?

ADOLF. (*z uśmiechem*)

Tylko iękę, na znak szacunku...

JULJA. (*poważnie*)
Lub obojętności.

ADOLF. (*tkliwie*)
Szacunek, przyjaźń.. Pozwól więc..

JULJA. (*cofając rękę*)
Zwolna, nasz kontrakt ulega zmianie.. W u-
mowie więcj stałości.

ŚPIEW (*j. w.*)
Nigdy miłości i t. d.

ADOLF. (*mówi*)
Posłuchaj mię Juljo.

JULJA. (*z uśmiechem*)
Proszę mię nie tykać.

A D O L F.
Skutek przyzwyczajenia.

J U L J A.
Przebaczam ci...

A D O L F.
Ah!....

J U L J A.
Przepraszam (*zawstydzona*)

A D O L F.
Droga Juljo, teraz powiedz mi.... (*chce ją
uściskać*)

SCENA XI.

CIŻ i LIMBOURG.

LIMBOURG.

Przychodzę właśnie... Ah! ah! Na ludzi, którzy się nigdy ze sobą nie widzieli, jesteście w bardzo dobrém porozumieniu.

JULJA.

Dowiedz się pan o szczególniejszym wypadku... To mój mąż...

ADOLF.

To moja żona!

LIMBOURG.

Proszę zaprzestać podobnych żartów w domu, gdzie przyzwoitość...

JULJA.

Ale to jest rzetelna prawda.

LIMBOURG.

I pani nalegasz.. w istocie, nie sądziłem ażeby osoba którą poważam, szanuję.. Przypomnij sobie pani, coś mi przed chwilą mówiła o twoim mężu.. jakże teraz możesz żądać, ażebym w młodzieńcu przyjemnym, łagodnym, uprzejmym, widział oryginał skreślonego mi obrazu? A pan wyznasz sam, czy to coś mi powiedział o swojej żonie, może się zgodzić...?

J U L J A.

Jednak rzecz niezawodna, że to on...

A D O L F.

Przysięgam że to ona.

L I M B O U R G.

Pojmuję, spodobałiście się sobie i mniemacie, że będę tyle łatwowiernym... Nie mój panie.. nie moja pani.. nie.. nie.. nie wierzę wcale... i nie zniosę ażeby tu....

A D O L F.

Ale posłuchaj mię...

L I M B O U R G.

Nic nie słucham!

J U L J A.

Dowiedz się...

L I M B O U R G.

Wiem wszystko!

JULJA. (*cicho*)

Zapaleniec!

ADOLF. (*n. s.*)

Gaduła!... niech mówi co chce.

SPIEW NRO 7.

L I M B O U R G.

Młodzieży płocha zuchwała,

Zatrzymaj dobrze w pamięci:

Tu cnota mieszkanie obrała,

Tu wszystkiem są moje chęci.

O B O J E.

Tu wszystkiem są jego chęci.

L I M B O U R G.

Tu jest na przepisów karcie:

O B O J E.

Tu jest na przepisów karcie,

L I M B O U R G.

Rozmawiać z sobą otwarcie,

O B O J E.

Sam na sam mówić otwarcie.

L I M B O U R G.

Zrana dzień dobry się powie,

O B O J E. (*tkliwie*)

Zrana dzień dobry się powie,

L I M B O U R G.

Później jakże służy zdrowie,

O B O J E.

Później jak że służy zdrowie.

L I M B O U R G.

Potem w wieczór i bez świecy,

O B O J E.

Potem w wieczór i bez świecy,

L I M B O U R G.

Żadnej nie mieć tajemnicy,

Zzawartemi mocno usta,

Wzajemnym darząc ukłonem,

Wnet zamknięci na dwa spusty...

O B O J E.

Razem?

L I M B O U R G.

Nie, każde zosobna.

JULJA (*smutno*)

Jakto? więc każde zosobna?

L I M B O U R G.

W więzy zostanie zamknionem!

Młodzieży płocha (*j. w.*)

ADOLF i JULJA. (*podczas śpiewu p. de Limbourg, podają sobie ręce, ściskają się, komendant, udaje jakby nie widział*)

L I M B O U R G.

Tak, jak powiedziałem, wszelka przyzwoitość, każde uchybienie skromności.... (*odwraca się i postrzega Adolfa chcącego pocałować Julję.*) Co widzę!— o Nieba! jaka ~~du~~chwałość!

J U L J A.

I cóż, jestże zbrodnią że mąż..?

A D O L F.

Tak, cóż w tém jest złego że żona..?

L I M B O U R G.

Podobny występki w zamku... Hola! niech ich rozłączą!...

SCENA XII.

CIŻ i GASPARD. (*ukazuje się z halabardą*)

A D O L F.

Co za okrucieństwo!

J U L J A.

Rozłączać dwoje małżonków!

LIMBOURG. (*do Julji*)

Ah, twoje postępowanie pani, wyświęca rzecz całą; patrząc na wasze tkliwe spojrzenia, poznaję dobrze, że nie jesteście małżonkami ale kochankami.

J U L J A.

Przysięgam!...

L I M B O U R G.

Nie słyszeć nie chcę... dalej, każde do swojej izby.

A D O L F.

Zobaczymy się jeszcze.

J U L J A.

Będę pisała do ciebie.

G A S P A R D (*n. s.*)

Kochają się, rzecz widoczna.

L I M B O U R G.

Prędzej, prędzej (*n. s.*) wszystko idzie dobrze.

J U L J A.

Adolfie!

A D O L F.

Juljo, (*Gaspard staje pomiędzy niemi*)

G A S P A R D.

Dosyć już tego! nie lubię na to patrzeć, zaraz mi się niedobrze robi.

ADOLF. (z gniewem)

A ty strzeż się jej obrazić, bo przysięgam że tego nie przebaczę.

LIMBOURG.

Co groźby!.. (n. s.) gdybym mógł uściskałbym, go.

JULJA.

Nie gniewaj się...

GASPARD. (cicho)

Bądź pan posłusznym... najlepiej jest wypełniać co mówią nasi przełożeni, bo... (widział że się zbliżają ku sobie idzie naprzód, lecz gdy się chcą uściskać odwraca się nagle) Dosyć już tego powiedziałem. (odprowadza Adoffa i Julję, którzy zegnają się zdala)

SCENA XIII.

GASPARD i LIMBOURG

LIMBOURG.

Słyszalesz ich?

GASPARD.

I cieszę się z tego.

LIMBOURG.

Otóż serca ludzkie! chcieć ich tylko rozdzielić, a będą pragnąć najgoręcej zostać ze sobą.

G A S P A R D.

Tak, ale czy to uczucie będzie trwałem.
Czy nie jest skutkiem przeciwności?

L I M B O U R G.

O tém właśnie przekonać się pragnę. Poznałem ich, oboje są dobrzy, tkliwi. Głowa zbłądziła, zacznę walkę z sercem i zobaczę czy mię zrozumie. Domyślam się że wkrótce Julia będzie usiłowała mówić z tobą.

G A S P A R D.

Przekupić mię.

L I M B O U R G.

Pozwalam na to; ale zwolna abyś nie zepsuł
mojego planu.

G A S P A R D. (*wesolo*)

Dobrze.. on pewno ze swojej strony będzie chciał mię przeciągnąć.... Po niejakiem oporze uczynię im zadość.

L I M B O U R G.

Ale pamiętaj nie wpierwój, aż ja...

G A S P A R D.

Rozumiem. (*cicho*) Otóż i ona przy drzwiach, nie śmie wejść, daje mi znak, drży biedaczka.

L I M B O U R G. (*cicho*)

Odchodzę (*głośno, przybierając mowę groźną*) Rozumiesz Hacting tir-koff-ter, najmniejszego porozumienia między dwojgiem więźni,

najmniejszego porozumienia, inaczej głową mi;
twoją odpowiesz! (*odchodzi*)

SCENA XIV.

JULJA, GASPARD.

JULJA.

Okrutny! (*do Gaspara*) Udało mi się wym-
knąć z mojej izby.

GASPARD. (*n. s.*)

Wierzę temu, bo drzwi umyślnie zostawio-
no otwarte.

JULJA.

Panie dozorco..przez litość, nie odmawiaj mi..
oto pierścionek...

GASPARD.

Pierścionek!..

JULJA.

Zbyt mały dowód mojej wdzięczności.
Posłuchaj mię drogi przyjacielu, możesz mi
wyświadczyć wielką przysługę: ten młody
człowiek, godzien jest litości, zasługuje aby
się nim zająć, będę ci winna bardzo wiele, je-
żeli mu raczysz oddać ten list.

GASPARD.

List, list..!

JULJA.

Małecki bilecik, otwarty.

GASPARD.

Ah jeżeli tylko bilecik, i otwarty.... Ale jeżeliby mi to kiedyś zaszkodzić miało ...

JULJA.

Nigdy się nie dowiedzą, weź proszę, weź.
(*podaje mu list i pierścionek*)

GASPARD. (*trzymając oba przedmioty*)

Nie, wszystko dobrze rozważywszy, zatrzymam tylko... (*patrzy na pierścień*)

JULJA.

O Nieba! odmawia!

GASPARD.

Zatrzymam list, a oddaję pierścionek.

JULJA.

Jako! nie chcesz?

GASPARD. (*z żywością*)

Chcę tylko uczynić przysługę, (*n. s.*) Zapominam mojej roli. (*głośno*) Dobrze, zaniósę bilet, ponieważ myślę, że nie zawiera w sobie nic takiego... będzie oddany.

JULJA. (*nie śmiało*)

Ah panie, tylko w dzień....prawda? teraz nie mogę się z nim widzieć?...

GASPARD.

Niepodobna, proszę wrócić...

J U L J A.

Dobrze, dobrze.. (przechodzi po za dozorcą i idzie ku schodom prowadzącym do męża)

G A S P A R D.

Gdzie pani idziesz?

J U L J A.

Do.. do siebie.

G A S P A R D.

Temi drzwiami?

J U L J A.

Chciałam iść do tego, którego tylokrotnie unikałam; muszę go jeszcze dziś widzieć choćby mię to życie kosztować miało.

G A S P A R D.

Ba.. ba..

J U L J A.

Nie wierzysz! spojrzysz na moją twogę, lzy...

G A S P A R D.

Nic nie widzę, nic nie chcę widzieć.. Proszę wrócić do siebie.

J U L J A.

Przez litość nie zapominaj bileciku...

G A S P A R D.

Ah.. kiedy co przyrzeknę.. do kroćset bomb i granatów!.. lepiej dotrzymam jak niektóre panie, które nawet przysięg swoich zapominają...

J U L J A.

No, nie gniewaj się mój śliczny panie dozorczo, nie gniewaj się; ale zaraz mu oddasz? Błagam cię.

G A S P A R D

Czy mię pani rozumiesz?

J U L J A.

Już idę już idę; ale oddasz?..

G A S P A R D. (*mocno*)

Już raz powiedziałem do milion..!

J U L J A. (*przerazona*)

Wiem dalej, wiem; odbierze mój list, jestem spokojniejsza.

SCENA XV.

G A S P A R D. (*sam*)

Ładne, miluchne stworzenie, oj te kobiety! (*naśladując głos kobiety*) Nie chcę go, nie cierpię, pójdę do rozwodu, uwolnijcie mię z tego jarzma! Teraz ledwo chwilę osobno na prawdę zamknęci, a sama chciała się wemknąć do niego; lecz ja jestem niewzruszony Hac-ting-tir-koff-ter Ah otóż i pan mąż biegnie ze schodów, po cztery przynajmniej za jedném stąpieniem... bacznosc! (*chodzi jak na straży*)

SCENA XVI.

GASPARD I ADOLF.

ADOLF. (n. s.)

Sam, przedziwnie. (*do Gasparda*) Mój przyjacielu, nie mogę tam wysiedzieć, jej okno jest z przeciwnej strony mego, wlałem na dach, abym ją tylko mógł zobaczyć, niepodobna; dajcie mi przynajmniej w tej samej wieży izbedkę, choćby najniewygodniejszą, byle tylko w tej samej wieży, błagam cię. (*idzie i patrzy przez okno z tej strony gdzie są schody do Julji prowadzące*)

G A S P A R D.

Biedny człowiek!...wlać na dach, aby tylko ją zobaczyć, narażać się na niebezpieczeństwo, gdy tym czasem w domu w jednym pokoju...

ADOLF. (n. s.)

Nie można widzieć. (*głośno*) Powiedz mi, czy możesz?

G A S P A R D.

Cierpliwość...nim pan dostaniesz drugą izbę, co byś też powiedział (*oglądając się*) gdybym miał...ostrożnie...bilecik!

A D O L F.

Od niej! oh mój przyjacielu! daj,
daj!

G A S P A R D.

Cicho! zginąłbym, gdyby pan komendant...

A D O L F.

Nie lękaj się, (*bierze list, czyta*) «Kochany Adolfe! teraz boleśniej czuję moje przewinienia względem ciebie...spodziewam się, że kiedyś będę je mogła wynagrodzić» droga żona! «Lękam się czy ta chwila przedko nadejdzie.» I ja się tego obawiam! «Wierzaj mi że tylko głowa moja...» Nie to moja «występną była i że serce...» Ah nie mogę dokończyć.. (*całuje list, potem chowa*) Siokrotnie go odczytam w mojem więzieniu. Przyjacielu to co dla mnie uczyniłeś, ośmiela mię... Kochany—stracę rozum, oszaleję, odważę się na wszystko! Trzeba ją uwolnić z tego więzienia, połączyć nas. pięć tysięcy franków, jeżeli mi dopomożesz.

G A S P A R D.

Pięć tysięcy franków.

A D O L F.

Dziesięć tysięcy, jeżeli tego chcesz, podpiszę się.

G A S P A R D.

Ale mój obowiązek..kara...gdyby dostrzeżono.

A D O L F.

Pójdiesz z nami, nigdy nas nie opuścisz.

G A S P A R D.

A sumienie!.. bo nakoniec ta pani ma męża...

A D O L F.

Ja nim jestem.

GASPARD. (*niby go nie słuchając, mówi dalej*)

Wprawdzie jej mąż, jest młody poślówek, źle się z nią obchodził, prawda..ale,

A D O L F.

Tak, wiem o tém, ja nim jestem, ja uczyniłem ją nieszczęśliwą; ale teraz dla jej szczęścia poświęcę wszystkie dni mojego życia!

G A S P A R D.

Więc to pańska żona! czy pewno?

A D O L F.

Niebem się świadczę... Przyrzec mi więc.: Jesteś wzruszony.

GASPARD. (*niby roztkliwiony*)

Nie, nie.

A D O L F.

Roztkliwiasz się?

GASPARD. (*odwraca się, i śmieje*)
To..to—nie prawda.

A D O L F.

Płaczesz ?

GASPARD. (*n. s.*)

Nie sądziłem że mi się tak uda.

A D O L F.

I cóż?

G A S P A R D.

Nie mogę się oprzeć i narażę się na wszystko, aby się tylko wam przysłużyć.

ADOLF. (*ściska go*)

Ah mój przyjacielu!

G A S P A R D.

Posłuchaj mię pan: jednak zobaczymy wprzód...

A D O L F. (*oglądając się*)

Tak zobaczymy...nie ma nikogo.

G A S P A R D.

Jest tylko jeden sposób ucieczki przez to okno wychodzące na wały; ale cóż kiedy najmniej dziesięć stóp od ziemi.

A D O L F.

Nic nie szkodzi wyskoczę.

G A S P A R D.

Wierzę bardzo, ale ani pańska żona, ani ja nie skoczemy.

A D O L F.

Prawda, cóż począć?

G A S P A R D.

Trzeba hrabiny; ja mam drabinę...zejdziemy i staniemy na parapecie.

A D O L F. (*żywo*)

Dobrze, jesteśmy więc na parapecie.

G A S P A R D.

Nie jesteśmy jeszcze, ale będziemy, nie daleko są drzwiczki ukryte, mam klucz.

A D O L F.

Otwieramy je.

G A S P A R D.

Ale tam trzech żołnierzy stoi na straży.

A D O L F.

Zabijemy ich.

G A S P A R D.

Nie, nie..nie zabijemy ich.

A D O L F. (*żywo*)

Dobrze, więc nie zabijemy.

G A S P A R D.

Ale im dobrze zapłacimy.

A D O L F.

Co tylko będą chcieli.

G A S P A R D,

Zaprowadzę pana do mojego syna, konie okulbaczone, jeden dla mnie, drugi dla pana siadamy...

A D O L F.

I jedziemy...

G A S P A R D.

Zagranicą będziemy spokojni—Nie traćmy i chwili...Już się zmierzcha... więźnie musieli udać się do swoich mieszkań...(Noc)

A D O L F.

A Julja?

G A S P A R D:

Pójdę po nią..zaczekaj pan. Tylko cicho, milczenie.

A D O L F.

Oh najgłębsze milczenie.

G A S P A R D.

Nie popelnij pan jakiego głupstwa.

A D O L F.

Czyż możesz się tego lękać, miłość ręczy za rozsądek.

G A S P A R D.

Prześliczny dowód rozsądku wkradać się w nocy a jeszcze do żony! (*śmieje się*)

SPIEW NRO 8.

A D O L F.

W tój chwili srogiej i milėj,
Serce drży i bije wraz;
Miłości swėj udziel siły,
Nocy, płaszczem osłoń nas.

SCENA XVII.

ADOLF, GASPARD, JULJA, (*w skromnym negli-
żu niosąc małe pudełko w ręku i świecę*)

G A S P A R D.

Jesteś pan.. za mną tuż..
Żona wezwał.. biegnie już.

R A Z E M.

ADOLF i JULJA. (*w uściskach*)

W tój chwili srogiej i milėj,
Serce drży i bije wraz,
Miłości udziel twėj siły.
Nocy, płaszczem osłoń nss.

GASPARD. (*mówi*)

Któż się odważy przynieść drabinę, tam
jest przy...

ADOLF. (*zrzuca surdut*)

Ja pójdę.
Tom XI.

J U L J A.

Cicho, żebyś nie przebudził żołnierzy.

G A S P A R D.

Ja tu zostanę przy drzwiach i będę pilnował.

ADOLF. *(wracząc z drabiną, Gaspard i Julja dopomagają mu wystawić ją za okno)*

A D O L F.

Nie trwoż się.

G A S P A R D.

Jeszcze jedna przeszkoda, na dole wielki rów, najmniej dziesięć stóp wody.

A D O L F.

Mniejsza o to, kiedy spojrzę w czarowne oczy mojej żony, samej śmierci się nie ulękę.

GASPARD. *(widząc pudełko wręku Julji)*

Cóż to jest?

J U L J A.

Moje klejnoty, za które w odległej ziemi, żyć będziemy wszystko troje.

G A S P A R D.

A tamte drobiazgi?

J U L J A.

Nic dbam o nie wcale.

GASPARD. (*n. s.*)

Nie dba o stroje, już cokolwiek uleczona.

A D O L F.

Juljo! tyś bóstwem dla mnie. (*podając jej surdut*) Okryj się, wieczór chłodny, zimno.

J U L J A

Co zimno? przy tobie. (*wskazując Gasparda*)
Daj jemu, on starszy; poczciwy człowieku
wdzięk go, ja ci pomogę (*pomaga Gaspardo-
wi odziać się*)

G A S P A R D.

Jaka dobra... Dalej śpieszmy.

A D O L F.

Śmiało! tedy, tu.

ŚPIEW POWYŻSZY.

R A Z E M.

W tej chwili strasznej i miłej. (*j. w.*)

ADOLF. (*stoi w oknie, Julja już chce iść za
nim, słysząc wystrzał*)

GASPARD. (*udając*)

O Nieba! wszystko odkryte! znak trwogi
zginęliśmy, straż pod bronią....cóż się ze mną
stanie?... (*słysząc odgłos bębna jak na trwogę*)

A D O L F.

Przyjacielu, powiemy że ty nie nie wiedzia-
łeś o tem.

SCENA XVIII.

CIŻ, LIMBOURG, STRAŻ, DOMOWNICY. *(ze światłem)*

LIMBOURG.

Przytrzymać tego niegodnego dozorcę,
niech go natychmiast okują w kajdany!

GASPARD.

Litości, panie kommandancie.

JULJA *(zatrzymując Gasparda, którego chcą prowadzić)*.

On niewinny, wstrzymajcie się, albo pójdziemy z nim razem.

GASPARD *(n. s.)*

Wyborne serce.

LIMBOURG.

Goniec przybyły w tej chwili doniósł mi, że w istocie jesteście małżonkami.

JULJA.

Ah widzisz pan...

LIMBOURG.

Uwzględnił mnie także, o przyczynie dla której was tu osadzono... Wasz stryj przekonany, że oboje nie jesteście bez błędów...

JULJA.

Prawda miałam ich zbyt wiele.

ADOLF.

Nie, ja raczej.

LIMBOURG *(mówiąc dalej)*.

Chciał zrazu ażebyście odpokutowali za nie; lecz wkrótce przyjaźń odnosząc górę nad gniewem, kazała mu osłodzić wyrok zatrzymujący was w więzieniu; postanowił więc tylko jedno z was dwojga ukarać...

ADOLF, (z radością)

To mnie!

JULJA (z uczuciem)

Pozwól dokończyć...

L I M B O U R G.

Tém bardziej, że jest pewny, iż cokolwiek bądź się przytrafi, nie możecie razem być szczęśliwi.

JULJA (urazona)

Doprawdy... proszę, co za domysł!...

ADOLF (łagodnie)

Pozwól dokończyć panu.

L I M B O U R G.

Przysłała mi akt rozwodowy i kto go pierwszy podpisze będzie wolnym...

ADOLF (żywo,

Rozwód, nigdy!.. nic w świecie nie zdoła mię do tego nakłonić.

JULJA (z postanowieniem)

Ani mnie, nigdy!

A D O L F.

Jednakże, jeżeli tym tylko sposobem mogę ją powrócić społeczeństwu... rodzinie... szczęściu... wyrwać z okropnego położenia i z tych miejsc zgrozy, zezwalam na wszystko; chcę żeby podpisała, rozkazuję nawet, ale niech natychmiast będzie wolną.

JULJA. (roztkliwiona)

Nie, nie podpiszę, ale Adolfe, jeżeli odmawiam, to nie dla tego, aby ci nie być posłuszną, lecz w twoim wieku... w twoim zawodzie, możesz się odznaczyć, zasłużyć

na szacunek przełożonych i wszystkich, co cię otaczają. Podpisz i wyjeżdżaj; pomyśl czasem o Julji, która w swoim schronieniu będzie il zyc twoje powodzenia, i pocieszać się myśla, że ty jesteś szczęśliwym i kochasz ją jeszcze. Idź więc, ja ci nie rozkazuję... ale na kolanach błagam.

ADOLF (*który jęj chciał kilkakrotnie przerwać*)

Nie, nie, to niepodobna, nie podpiszę.

J U L J A.

Proszę., zaklinam... (*ze łzami*) Adolfie!

A D O L F.

A więc? słuchaj... tak... rozumiesz mię? Juljo!

J U L J A.

Adolfie!

ADOLF (*z mocą*)

Żadnego rozwodu! tu... oboje i na całe życie.. (*rozdziera akt*)

J U L J A.

Tak oboje i na całe życie!

ADOLF. (*oddając podarty papier*)

Oto jest nasza odpowiedź, możesz ją pan przesłać naszemu stryjowi.

LIMBOURG (*n. s.*)

Nie mogę ukryć wzruszenia... (*głośno*) Jako, chcecie razem zostać w więzieniu?

A D O L F.

Będzie ono odtąd świątynią szczęścia. Teraz dla siebie żyć tylko będziemy.

J U L J A.

Pożegnamy na zawsze świat i jego czczenie.

A D O L F.

Miłość... przyjaźń... bo pewny jestem, że nas kochać będziesz, (*wskazując na Gasparda*) wdzięczność... dla nas przebacysz temu poczciwemu człowiekowi; te uczucia upięknia to schronienie: powinszuj nam, od tej dopiero chwili jesteśmy szczęśliwi!

J U L J A.

Tak, prawdziwie szczęśliwi!

LIMBOURG. (*tkliwie*)

Ah, nazbyt okrutne, przyjemne dzieci! a więc dopiero w tym smutnem ustroniu postrzegacie, ile je dno drugiemu jest do szczęścia potrzebnem, gdy, tym czasem w stolicy gdzie wam wolno było kochać się i mówić o tém, zatrawaliście sobie wzajemnie życie nieustanną sprzeczką...

J U L J A.

Oh już koniec temu, (*ściska Adolfa*) dzięki niebu!

L I M B O U R G.

Wierzę, wierzę. (*z dobrocią*) kiedy tak nie widzę więc żadnej przeszkody, abyscie wrócili do stolicy.

A D O L F. (*zdziwiony*)

Jakto?

J U L J A.

Co mówisz?..

L I M B O U R G.

Jesteście wolni oboje, byliście niemi zawsze była to tylko nauka najtkliwszej przyjaźni i

umieliście z niej korzystać. Ta forteca jest zamek Limbourg, własność przyjaciela waszego stryja i waszego moje kochane dzieci. (*ścisła ich*)

G A S P A R D.

A dozorca Hac-ting-tir-koff-ter, jest tylko leśniczy Gaspard, który nie mało sobie zadał pracy, aby się przemienić w nieubłaganego dozorcę. (*zdejmuje wasy i odrzuca halabardę*) Straż składali domownicy.

A D O L F.

Ah ileż winni jesteśmy wdzięczności temu zacnemu przyjacielowi.

J U L J A.

Zamek de Limbourg nigdy nie wyjdzie z naszej pamięci.

L I M B O U R G.

Jeżeli sądzicie, żem zasłużył na waszą wdzięczność, przyjeżdżajcie tu co rok w ten sam dzień, abyśmy uroczystie obchodzić mogli uwolnienie dwojga osobliwszych więźniów.

SPIEW NRO 9.

W S Z Y S C Y.

Gdy się nadzieja uisici,

Którą błoga przyszłość wróży;

Dowodem będzie korzyści

I tej lekcji i podróży.

KONIEC KOMEDJO-OPERY I TOMU JEDENASTEGO.

60-330
BIBLIOTEKA
MADAN
INSTYTUT
LITERACKICH
PANI
ul. Nowy Świat 71
Warszawa
Tel. 26-68-63



The image shows a close-up of a book cover or endpaper with a marbled paper pattern. The pattern consists of irregular, organic shapes in shades of dark green, black, and yellow, creating a complex, cellular texture. In the upper right corner, there is a circular, light-colored paper label with handwritten text in black ink. The text on the label is arranged in two lines: the top line contains the number '22.963' and the bottom line contains the number '11'.

22.963

11